№ 48. Warszawa, dnia 16 (28) Listopada 1874 roku.




# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

## Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

**Prenumerata wynosi:** w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.



## Korespondencya z Ameryki

Sygurda Wiśniowskiego.

List wasz Kochany Redaktorze, zastał mnie wśród takich zajęć i kłopotów, że choć od dni dziesięciu na biórku spoczywa, dziś dopiero i to na noclegu w zajezdnym domu, gdy upędzam sie po stepie za końmi zagubionemi, mogę zabrać się do odpowiedzi.

Od kilku miesięcy ledwo pióro umaczałem, a nawet nie czytałem zwykłej mej gazety tak mi było pilno z oraniem, sianiem i sadzeniem. Pomimo jednak tylu zabiegów i angielskiej wytrwałości w zasiewaniu pól trzykrotnie już ogołoconych tej wiosny przez szarańczę, gospodarstwo moje w tak smutnym stanie obecnie, że opisywać je nie warto, jak tego domagaliście się. Dla tego nie odpowiadam na zrobione pytania, jak żyję i kłopoczę się, jak zabiegam i pracuję, jak urządzam i przystrajam moją siedzibę aż do tej pory, gdy wróciwszy do domu będę mógł obszernie i malowniczo przedstawić tryb życia pijonierskiego. A życie to ciekawe, jak każda walka z naturą, z jej siłami i dzikością i ugięcie jej pod zarząd woli i myśli ludzkiej. Walka taka to dzieło prawdziwe cywilizacyjne, najprzód uledz w niej musi materya, a później sam człowiek co jej podboju uskutecznił. Materyą pokonywa myśl i praca; człowieka związek towarzyski, jego potrzeby i wymagania oparte na moralności chrześcijańskiej. I materya i człowiek opór często stawiają zawzięty, mimo tego uledz muszą przed wytrwałością ludzkości ciągle pnącej się ku postępowi. W społecznościach już urządzonych ten podbój niby dokonany, ale tylko w materyi, pomiędzy ludźmi jeszcze siła rej wodzi i przemaga. My pijonierowie walkę tę podwójną dodopiero rozpoczynamy, nie dziwcie się więc, gdy was dojdą wieści nie przychylne dla nas. I u was nielepiej się dzieje: nas w każdym razie tłomaczy pośpiech działania, brak organizacyi, porywczość energji, wreszcie pewna szorstkość mimowoli nabyta w ścieraniu się z dzikością natury i przewagą w niej srogości świata zwierzęcego.

Za kilka tygodni opuszczam gospodarstwo me aż do przyszłéj wiosny, zabierając wszystką moją chudobę i udając się w strony nie wygłodzone niegodziwą szarańczą o jakie sto mil naszych do źródeł rzeki Missisipi i nad Wężowe jezioro (Superyor). Tam to wśród owych niezmierzonych puszczy leśnych, dostarczających masztów dla połowy świata, spędzę jesień i zimę polując na niedźwiedzie i jelenie i żyjąc z traperami, podczas gdy bydło robocze zatrudniać będziemy zwożeniem materyału budowlanego na spław wodą przeznaczony. Z siekierą więc i strzelbą w ręku, wśród pustyni leśnej i z towarzyszami zebranemi z całego świata, wieść będę żywot twardy, mozolny i bardzo niebezpieczny, ale trud i praca przyniosą mi nagrodę w chwilowych wypoczynkach, a gawędy przy płonących ogniskach ze współtułaczem szumu leśnego, ryku dziczy, świstu wichru i rumotu wodospadów, gawędy pełne dramatycznych opisów z życia rzeczywistego pobranych, starczą mi za wszelkie wasze przyjemności otoczone zaduchem ciżby i kopciem światła sztucznego. Nas otaczać będzie przestrzeń nieograniczona, migotanie gwiazd i blask księżyca tylko weselszy jakim was darzy.

Zadziwicie się zapewne Redaktorze memu postanowieniu w wyborze nowej siedziby, ale gdybyście widzieli jak na dawnej w przeciągu dni dziesięciu, bujne łany nasze i stepy aksamitną zielenią kobierca pokryte, zmieniły się w czarną Saharę, przestalibyście się dziwić, że tak jak ja tak prawie cała ludność postanowiliśmy wyemigrować chwilowo w szczęśliwsze strony klęską tą nie dotknięte. Kiedyśmy bowiem pokończyli wiosenne nasze zasiewy, kiedy ruń wschodzącego zboża pokryła nasze role, darząc nadzieją przyszłych pomyślnych plonów, nagle jak piorun, niezmierzone i nieprzeliczone stada szarańczy wylęgły się w okolicy obszernej jak cała Anglija i zjadły pierwsze nasze zasiewy. Zabraliśmy się więc znowu do pracy i zasiali jarzyny późniejsze i znów je zjadło domorodne plugastwo: po raz trzeci dopełnione obsiewy kukurydzą, turnipsem i hreczką uległy tej samej klęsce pod żarłoctwem nowego stada już latającego. Gdy zniszczenie zupełnie dokonane zostało, codziennie prawie przepływały nad nami tumany owadów gęste jak zimowe śnieżne zawieruchy, sięgające tuż od ziemi niemal aż do obłoków, bo dobra nawet lunetą krańca ich nie wypatrzy. Gdzie spojrzeć nigdzie listka na drzewie ani źdźbła w ziemi nie dostrzeże; wszędzie pustka, zniszczenie, i w kilka godzin co było w pełni życia, uśmiechające się zielenią, naraz jeden zostaje martwem, odartem i czarną barwą okrytem. Straszny to obraz, przerażający, napełniający serce dziwną trwogą, i mimowoli nasuwający myśl, jak człowiek jest słabym, niedołężnym w obec natury występującej w całej swej grozie według praw odwiecznych z góry jej danych. A jednak natura ta choć tak silna i straszna, pokonaną przez człowieka zostanie i musi być pokonaną, bo takie prawo Boże aby człowiek wziął nad nią przewagę. Jakie w tym celu, co do szarańczy przedsiebrane zostaną środki, nie wiemy jeszcze, ale zastanawiamy się, radzimy, myślimy, a z tych potrójnych działań środek wreszcie skuteczny musi być w końcu wydobytym.

Choć widziałem szarańczę w innych krajach, w podobnej ilości pierwszy raz ją oglądałem. Żebyście powzieli choć jakie takie wyobrażenie o jej nieprzeliczonem mnóstwie, wyobraźcie sobie przestrzeń ziemi długą na sto mil naszych, a szeroką na trzydzieści, zasłaną owadem tuż jeden przy drugim, mrowiącym się wszędzie najmniejszą szparką, najwęższą szczelinką, przepełniającym każde wklęśnięcie, rowki i rowy, strumienie i jeziorka, czepiającym się wszystkiego, nóg twoich, ubrania, a zrozumiecie co to jest klęska szarańczy. Dodajcie do tego, że to co już spadło, roi się i zjada, jest małą cząsteczką jakby przednią strażą głównego korpusu, za nią spieszące-

go. Po pierwszem bowiem zjawieniu się szarańczy, przez dni dziesięć później, chmury jej w warstwie grubej jak powiedziałem od ziemi do obłoków dochodzącej, ciągnęły codziennie od dziesiątej rano do trzeciej po południu, zasłaniając słońce i siejąc mrok na ziemi jak w czasie zaćmienia. Co się dalej działo, nie wiem, bo przestraszeni aby nas żywcem plugastwo nie zjadło, nie mogąc się przed niem nigdzie schronić, uciekliśmy z resztą co ocalała.

Drogi też nasze w kierunku północy, wyglądają jak w czasie pochodu armji spieszącej na wyznaczone jej stanowisko. Bryka ciągnie za bryką, jedni jadą przy nich konno, drudzy pieszo postępują, bydło ryczy, psy wyją, ludzie narzekają, tłoczą się, dzieci płaczą i nie ma wątpliwości że za parę miesięcy w miejscowości już pod pracę ludzką poddanej, kwitnącej, gwarnej, zaledwie dziesiąta część ludności zostanie przekładając nędzę na miejscu nad ratunek od niej w dalekiej nowej siedzibie. Wreszcie emigracya taka zbiorowa była konieczną, gdyby nikt się nie ruszył, w krótce z głodu zjadalibyśmy chyba jedni drugich, a tego pijonierowie nie umieją i praktykę podobną zostawiają dzikim.

Ze składek w całej Unji zbieranych, zostaniemy zapomożeni w dostateczne środki do powrotu, zasiewu i zagospodarowania się, tymczasem każdy musi żyć z własnego jedynie zabiegu. My damy sobie radę w nowych stronach i puszczach jeszcze nie zamieszkałych, pozostałym na miejscu nie pozostaje nic innego, jak sprowadzać wszystko z dalszej okolicy, nawet paszę dla bydła która z pewnością do bajecznej dojdzie ceny. Na przetrwanie podobne skutków spadłej klęski, trzeba worek mieć dobrze napełniony dolarami: kto go nie posiada rad nie rad musi w świat wyruszyć. Straty moje w porównaniu z drugiemi są bardzo małe, bom świeżo dopiero osiedlony a oni dawniejsi więc i z zasobami swemi z przeszłości klęsce ulegli. Najbiedniejsi liczną obarczeni rodziną, ale tych wspomaga współczucie drugich, silniejsze tu może jak gdzieindziej bo i niedola częściej spadająca. Wreszcie czujemy, że na nikogo oglądać się nie możemy, że ratunek musimy wydobyć z samych siebie, bo inaczej zginiemy jak Szwedzi w Kampinoskiej puszczy, i co tamtego dziś dręczy, na mnie jutro spaść może.

Składka całej Unji zapomoże nas bez wątpienia, nie powstała z miłosierdzia chrześcijańskiego, ale po prostu z dobrze zrozumianego własnego interesu, a to podobno środek dzielniejszy od przekonań z serca płynących, które nie każdy posiada. Społeczność lepiej zawsze wychodzi, gdy ma więcej dobrych pracowników, jak nędzarzy: pracownik ją bowiem bogaci nędzarz uboży.

Jadę więc na północ i spędzę zimę zapewne bardzo romantycznie, ale nie tak wygodnie jak w siedzibie którą opuszczam. Dawniej z upragnieniem szukałem takiego życia, dziś gniewam się na okoliczności zmuszające mnie do niego, bo wszystkie moje wyrachowania, urządzenie sobie gospodarstwa i domu według polskiego obyczaju i zamierzona podróż do środkowej Azyi, o rok zapewne opóźnią się.

Poprawić się w wyraźniejszem pisaniu choć radbym bardzo, ale mi już niepodobna, bo tak mi ręka z pracy fizycznej ociężała, że po napisaniu kilku wierszy drętwieje. Przed parą miesiącami pisząc dla jednej z gazet tutejszych sześć wschodnich obrazków użyłem do dyktowania młodego chłopca, ale tak mnie to znudziło że dałem pokój tej nowej pracy. Jeżeli zaś myślicie, że mieszkam w Ameryce dla dorobienia się majątku i powrotu z nim do Europy, to się bardzo mylicie. Wiem że byłoby mi stokroć lepiej, gdybym siedział w Austryi i nawet nic nie robił, jak tylu innych silnych, zdrowych i zdatnych, przynajmniej fizyczniej, do wszystkiego, ale to życie nie dla mnie i wolę tu pracować ciężko, pocić się jak dawniej negr w plantacyi, bronić się kulą przed dzikim zwierzem i dzikim krajowcem, a pięścią przed sąsiednią napaścią, żyć wreszcie na pół dziko w otoczeniu także dzikiem, jak patrzeć na wasz świat stary i przechwaloną w nim cywilizacyą. Gdyby mnie gwałtem wpośród was osadzić chciano, wolałbym aby mnie połknął Atlantyk, jak popaść w podobne nieszczęście. Tak myślących jak ja są krocie, aby nas pojąć i zrozumieć trzeba tu z rok przynajmniej posiedzić i wniknąć własnem doświadczeniem w układ społecznego porządku. Jam z nim nigdy się nie zbratał, nie dziwcie się więc że tak lękam się pomiędzy was powrotu na stałe. Jeżeli wyruszę ztąd to do Azyi, między Indyan, Chińczyków i Japończyków, was Europejczyków może nawiedzę także jako starych znajomych, ale nie jako ciekawość godną widzenia. Miałem jej po same uszy w ostatnim pobycie, gdym na szwajcarskiej ziemi podał wam Redaktorze rękę przyjaźni która przy rozłące może na wieki, na wieki nas równie połączyła. Jeżeli kiedy jak ja stracisz cierpliwość, przyjeżdżaj do mnie, a uczęstuję cię pieczenią bawołu i udźcem jelenia, uścisnę twardą ręką ale sercem szczerem. Przyznasz że to warte więcej nad to czem się przechwalacie.

---

## SYMFONJA.

### *Allegro.*

Na progu chaty, dziewczyna stała,
Świeża, jak polny kwiat,
I jasnem okiem w przestrzeń sięgała,
Na skrzydłach myśli dusza się rwała
Pragnąc ulecieć — w świat!

W ten świat uroczy, w ten wymarzony,
W ten przeczuwany raj,
Blaskami tęczy opromieniony,
Chce rzucić chatę, rodzinne strony,
I ulubiony gaj.

Bo tam — za górą, tam za drożyną,
Gdzie tęskny zwraca wzrok,
Podobno wody czyściejsze płyną,
I gaj piękniejszą szumi krzewiną,
I mniej posępny mrok...

Tam — ludzi wielkie wspaniałe tłumy
Bogactwa, piękna, cud!
Tam -- inne serca, inne rozumy,
Dziewczę z zapału drży i z zadumy,
By poznać szczęsny ród.

### *Scherzo.*

„O matko moja, mateńko miła!
Puść mię w tę drogę, proszę ja ciebie!
Jam nockę całą o niej prześniła,
Będę płakała, będę tęskniła
Jak dusza w czyścu marzę o niebie!

„Widzisz mateńko, czas mi do świata,
Tam się prawdziwe rozpocznie życie!
Za nic mi nasza wioska i chata,
Ja wrócę ztamtąd, szczęsna, bogata,
Lecz iść mi trzeba — sami widzicie!"

„O moja córko, o doniu biedna!
Jakże mi ciebie i żal i szkoda,
Ciebie tam zguba czeka bezwiedna,
Co ty tam poczniesz, ty sama jedna,
Niedoświadczona, dobra a młoda?"

„Dosyć już matko łez bez przyczyny,
Puść mię, i krzyżyk daj mi na drogę,
Ja pójdę śmiało w świata drużyny,
Świat kocha, wabi serce dziewczyny,
Ja tu już dłużej zostać nie mogę!

„Pójdę — wszak jestem silna i zdrowa,
I pracy żadnej się nie powstydzę,
Mówią: że nie od kształtu ma głowa,
Nikt mi nie skąpi dobrego słowa,
Bo kocham cnotę, a złem się brzydzę.

„A więc świat pewno przyjmie ochotę,
Co bez pożytku tu się marnuje!
Tam to dla siebie znajdę robotę,
I wnet ukoję duszną tęsknotę."
— Oh! matko sercem coś złego czuje!

„Idź moje dziecko! idź w świat szeroki,
Na czoło kładę ci krzyża znak,
Oby ci szczęście znaczyło kroki...
Ale mnie dręczy smutek głęboki...
Po co ty dziecię tam się rwiesz tak!?

. . . . . . .

„Nie słyszała już dziewczyna
Zapytania biednej matki,
Hyżo biegnie jak ptaszyna
Wypuszczona z ciasnej klatki..

. . . . . . .

### *Rondo.*

I mamże mówić? czy wy nie wiecie
Co życie światowe?
W wazonie polne usycha kwiecie,
W murach umiera wieśniacze dziecię,
Jakież to dzieje nie nowe!

Wasza paląca światowa sfera,
Mózgi na popiół wysuszy,
A wasza mroźna uczuć maniera
Serce przeziębi i sponiewiera
Godność czystej duszy.

Umiecie poić słodziutkim jadem,
I siecią fałszu osnuwać,
I poprowadzić obrzydłym śladem,
Że człowiek stanie się podłym gadem,
Chce kąsać i zatruwać!

Pocałowaniem zdradzać będziecie!
O plemię Judaszowe!
Z wrzaskiem ofiarę na krzyż wbijecie...
Po co mam mówić? czy wy nie wiecie,
Co życie światowe!

### *Finale.*

Na progu chaty — dziewczyna stała,
Blada, jak zwiędły kwiat,
Matka nad biedną gorzkie łzy lała,
Ona ze wstrętem wzrok odwracała,
Od stron, gdzie widniał świat.

Na chorej piersi rękę matuli
Ciśnie, z bólu tchnie...
Płacze, i główkę konając tuli,
„O matko... żałuj twojej zuzuli
To świat... zabił mnie!

*Marya Szeliga.*

---

# ORZEŁ I GOŁĄBKA

## POWIEŚĆ

PRZEZ

**Panią Zeneidę Fleuriot.**

DZIEŁO UWIEŃCZONE PRZEZ AKADEMIĘ FRANCUZKĄ

przekład **H. K.**

(Dalszy ciąg).

— Chciałabym doktora, ciągnęła Noémi głuchym głosem. Czy tu go nie ma?

— Nie

— Więc to nie jest ambulans?

— Nie, to dom prywatny.

— Na jakiej ulicy?

— Na ulicy Saint-Florentin.

— Ach! tak, zapewne blizko barykady. Czy biją się jeszcze?

— Niestety! walczą ciągle.

— Dla czegóż niestety. To pojedynek śmiertelny. Kto zwycięża?

— Wszędzie słyszałam że zupełne zwycięztwo armii jest rzeczą pewną.

Noémi zacisnęła swe małe ciemne pięści, przybrane jeszcze w bogate pierścionki i zgrzytnęła zębami.

— Podli! wyjąknęła. Pić! pić mi się chcę, wody czystej!...

Anna dobiegła do odźwiernej i prosiła ją o szklankę wody, po którą ta poszła natychmiast.

W tej stronie salonu, obiły się o ucho Anny jęki nieszczęśliwych około których miłosierna kobieta się krzątała.

Z pod kołder na kupę rzuconych w głębi ogromnego salonu, wychodziły boleśne westchnienia, nie wyraźne krzyki, przekleństwa. Annie wydało się nawet że usłyszała kilka słów bretońskich, które boleśniejszy jeszcze nad inne skargi oddźwięk w jej sercu znalazły.

Lecz ani na chwilę nie śmiała opuścić Noémi, którą Maïa dość niezgrabnie podtrzymywała, a kiedy się pani Barlat ukazała pośpieszyła wrócić do niej ze szklanką wody w ręku.

Przez kilka minut odwilżała świeżą wodą usta i skronie rannej, a potem usiadła na dawnem miejscu to jest w ten sposób, aby módz podtrzymywać na swem ramieniu głowę biednej dziewczyny, dozwalając Maï swobodnie się umieścić za kanapą.

— Anno, ja muszę w tobie budzić odrazę, wyrzekła niespodzianie Noémi, mówiąca cicho, z trudnością, lecz bardzo wyraźnie; a jednak wolę w tobie wzbudzać odrazę jak litość.

Anna pochyliła się i pocałowała ją.

Na tę milczącą lecz wymowną odpowiedź, zżółkłe i pofałdowane czoło Noémi zdało się rozjaśniać.

— O! ty zostałaś kobietą, wyjąknęła: miłosierną i czułą. Ja, zasmakowałam w nienawiści... Ach! w jakiej gorączce żyję od sześciu miesięcy!

Anna patrząca z politowaniem na jej zapadłe skronie i oczy podsiniałe, Anna prosząca Boga aby zesłał jej ustom słowa zdolne wzruszyć tę duszę stojącą na progu wieczności; odpowiedziała głębokiem westchnieniem.

— Dla czegóż mnie żałujesz? Nie jestem wcale do pożałowania, mówiła Noémi której silna duma panowała nad ostremi bólami, sama sobie tę śmierć wybrałam. Któż miałby prawo potępić mnie.

— Niektórzyby je mieli, odrzekła Anna łagodnie, lecz nie ci co popchnęli cię na tę drogę.

— Tak, mój stryj i mój ojciec! nie chcieli... zdeptałam ich wolę aby uczynić to co uczyniłam, i nie żałuję tego.

Umilkła jakby przygnębiona swemi własnemi myślami. Zamykała oczy, potem je otwierała i wpatrywała się w Annę zawsze nad nią pochyloną. Po długiem milczeniu tak dalej ciągnęła:

— Anno, nie żałuję. Czy to jest dość dziwnem? Dom mego ojca był ogniskiem nieustannych spisków, każda z intelligencyj które się tam zbierały, popychała tym czynnym sposobem do nieporządków społecznych, do nienawiści religijnej. Książki, gazety, teatra do nich należały, i służyły ich opiniom, a tego właśnie dnia w którym teorya w czyn przechodzi, wyrzekają się zdań swych, dążności i uciekają.

Jakich że scen byłam świadkiem! Jakąż nacechowanych podłością!

— Czy rodzice twoi są w Paryżu? zapytała Anna, bojąc się aby uniesienie jej nie zaszkodziło.

— Są w mieście, ale ukryci. Ponieważ zostałam, nie mieli odwagi odjechać, jeden tylko... mój stryj dopuścił się tej najwyższej podłości.

Umilkła a podnosząc na Annę wzrok w którym dziwny błyszczał ogień, dodała:

— Anno, wiesz ty co to jest nienawidzieć kogo?

Nie, odpowiedziała Anna bez wahania.

A więc nic nie wiesz.

Słowa te zamarły w jakimciś chrapliwym dźwięku. Wrażenie ich było zbyt silne i wywołało wybuch krwi ze strasznemi konwulsyami połączony. Umysł Noémi, zdawał się być nieprzytomny, do dzikiego wyrazu jej rysów przyłączyło się jakieś nieokreślone przerażenie.

— Och! umieram, umieram! wyjąknęła.

Zrenice jej rozszerzyły się, potem oczy się zamknęły i głowa zachwiała na ramieniu Anny.

— Ach! mój Boże, mój Boże! zlituj się nad nią! płacząc szeptała Anna.

Noémi głosem przygasłym, złamanym odezwała się znowu:

— Gdzież to ja jestem?

— Na moich rękach, odpowiedziała Anna.

— Gdzież idę?

— Do Boga.

Noémi otworzyła oczy i popatrzała na Annę z przerażeniem.

— Ach! Bóg! nie wymawiaj tego imienia! Boję się... jąkała z przestrachem.

Anna zdjęła z szyi krzyżyk ukryty w jej sukni a wznosząc go do wysokości ócz umierającej:

— Patrz na niego przez ten bolesny obraz, powiedziała z czułą energiją.

Noémi jęcząc oczy odwróciła.

Anna dotknęła godłem zbawienia jej ust krwią zbroczonych.

Noémi dozwoliła to uczynić, twarz rannej lekko się zabarwiła, śmierć która już nad nią lodowaty swój płaszcz rozciągała, zwolna poczęła ustępować.

Gdy przemówiła, głos jej cichszy i słabszy był mniej cierpkim, mniej namiętnym, a wzrok jej przygasły szukał wzroku Anny.

— Myślałam że umrę, powiedziała i okazałam mało odwagi, byłam nikczemną, nieprawdaż?

— Droga Noémi, powiedz raczej że bohatersko znosisz cierpienia twoje.

— Moje cierpienia, tak; lecz myśl moja się miesza, gdy widzi koniec tak blizki. Anno, Anno, czuję się bardzo blizką śmierci, i odpycham ją, bo teraz boję się także... boję się Boga.

— Boisz się twego ojca, Noémi? odpowiedziała słodko Anna, wstrzymując krew która z ust jej płynęła: Bóg wszak to twój ojciec!

— Och!

Anna uścisnęła ją w swych ramionach

Noémi, pozwól niech wejdą do twego serca wiara i miłość; idź do Boga z miłością.

— Ach! umrzeć! Anno to okropnie!

— Nie zawsze. Mam świętą przyjaciółkę która zapewnia że chwili tej ostatniej wygląda nawet z upragnieniem. „Śmierć, mówi ona, to Bóg wzywa duszę swego stworzenia; Bog, ojciec nasz, na progu wieczności się znajduje, śmierć otwiera nam jej bramy, i w Jego ramiona idziemy.“

W tej chwili odźwierna się zbliżyła.

— Przepraszam panią, powiedziała do Anny, lecz muszę wziąść tę świecę w głąb salonu, jest tam jakiś biedny człowiek tak użalający się, że aż serce pęka słuchając co mówi.

A zniżając głos, dodała:

— Nie bardzo na niego zważałam i nie zbliżałam się myśląc że to jakiś obcy tak śmiesznym mówi językiem, lecz teraz zaczyna wzbudzać litość we mnie, i chciałabym mu pomoc udzielić.

— Czy pani mówi o tym rannym co leży przy drzwiach? zapytała Anna.

— Tak pani.

— Proszę pani, doglądaj go dobrze, to nie obcy to Bretończyk.

— Anno, pójdz zobacz tego nieszczęśliwego, łagodnie odezwała się Noémi.

— Opuścić ciebie? o! nie!

— Na chwilkę tylko. Czuję się słabszą, lecz przytem jest mi lepiej, nie mam takich gwałtownych bólów przy oddychaniu. Idź Anno, idź!

Anna wstała, podłożyła jej poduszkę pod głowę i za odźwierną udała się w głąb pokoju.

Przy drzwiach wchodowych na lichym materacu, leżał nieszczęśliwy chory. Krew z rany jaką miał na szyi, przy pochylonej postawie głowy, dochodziła do jego gęstych włosów i czoło krwawą koroną okalała.

Bladość ostatnich chwil zmieniały rysy tej twarzy pospolitego lecz uczciwego wyrazu. W spojrzeniu jakie rzucił na zbliżającą się do niego, tyle się malowało rezygnacyi i smutku że Anna uczuła się wzruszoną do głębi duszy.

Uklękła przy biednej ofierze i w bretońskiem narzeczu te słowa wymówiła:

— Czy bardzo cierpisz mój bracie nieszczęśliwy?

Uśmiech rozjaśnił twarz umierającego, a odbłysk radości zamigotał w jego smutnem, gasnącem oku.

— Bardzo o! bardzo, odpowiedział rodzinną swą mową.

— Czy doktór nie opatrzył ci rany?

— Nikogo nie widziałem.

— Jakże zostałeś raniony?

— Szedłem naprzód z towarzyszami. Kula złamała mi palec u lewej ręki, pomimo to szedłem dalej gdy druga kula uderzyła mnie w szyję. Tutaj dopiero się ocknąłem.

— Bądź cierpliwym, mam nadzieję że doktór wkrótce nadejdzie.

— Doktór, a to po co? Wolę Kapłana z mojej prowicyi. Znajdź mi księdza, na miłość Boską cię błagam!

— Niestety! nie ma tu księdza, a nie mogę domu tego opuścić. Chcesz mieć krzyżyk?

— Dobrze.

— Anna podała mu mały krucyfiks.

Ucałował go, szepcąc słowa którym nadawał wzruszający akcent modlitwy, a zobaczywszy że Anna chce odejść, zawołał z żywością rękę do niej wyciągając:

— Już pani odchodzisz? Nie będę więc już słyszeć mojej rodzinnej mowy?

— Jest tam chora którą się zajmuję, odrzekła Anna zawsze nad nim pochylona.

— Dlaczegóż nie jestem przy niej, droga panienko, zamiast znajdować się w pośród tych bluźnierców mających już śmierć przy sobie?

Głuche słowa rozpaczy wymawiane przez głosy męzkie i kobiece, obijały się rzeczywiście o uszy Anny.

— Można pomyśleć że się jest w piekle, ciągnął młodzieniec. Posuń mnie pani w tamtą stronę. Jakże tu się modlić, słysząc takie przekleństwa?

— Lecz to przesunięcie zwiększy może twoje cierpienia?

— Trochę więcej, trochę mniej, to wszystko jedno; nasz Odkupiciel więcej cierpiał w czasie swej męki. Wolę cierpieć trochę, aby tylko słyszeć bretońską mowę.

Anna zwróciła się do pani Barlot i przedstawiła jej żądanie młodego żołnierza. Obie więc z Anną ujęły materac i przesunęły go pomału aż do okna. Tym sposobem Anna znajdowała się między dwoma chorymi, których pragnienie paliło i którzy prosili jak o najwyższą ulgę, aby delikatna jej ręka od czasu do czasu odwilżyła świeżą wodą ich zaschłe usta.

Coś jakby rozczulenie przeszło po twarzy Noémi gdy Anna opowiedziała jej swoją rozmowę z młodym żołnierzem, a podnosząc się na łokciu spojrzała na niego z głębokiem wzruszeniem, lecz znowu przybrała wyraz nieugiętej dzikości i milczała.

— Tak mówiąc myślę o moim bracie, ciągnęła Anna łagodnie lecz z dumą. Czy możesz go porównać do tych ludzi pełnych próżności i chęci osobistego wyniesienia się?

Henryk bił się przeciw nieprzyjaciołom porządku społecznego, jest bohaterem.

— Anno, z cicha odezwała się Noémi, prawdę mówisz co do Henryka. Ja bardzo Henryka szacuję.

Przymknęła oczy i przytłumiony jęk wydała, było, to zapowiedzenie nowego wybuchu krwi, poczem przyszła zwolna do siebie a uśmiechając się łagodnie do Anny która otaczała ją najtkliwszem staraniem, szepnęła:

— Jakże mi błogo czuć się w twoich ramionach, nigdy zupełnie nie tracę przytomności, czuję twoją rękę, słyszę niewyraźny głos twój. Ach! Anno, jakaś ty dobra! Nie bądź tak przestraszoną, znowu jest mi lepiej, chociażem bardziej osłabiona.

Może mi życie tak zwolna uchodzi.

Przestała mówić, i po długiem milczeniu którego Anna nie śmiała przerywać, odezwała się znowu:

— Nim życie moje uleci, pozwól Anno że ci o nim mówić będę. Mam chęć serce ci moje otworzyć i dać ci poznać wewnętrzną moją istotę. Jesteś jedyną osobą która prawdziwe we mnie wzbudziła zaufanie, zdawało mi się że odżywiałaś we mnie to co było uschło, w zetknięciu się z przewrotnemi i zlodowaciałemi sercami, jakiemi byłam otoczoną. Anno, znosiłaś mnie winną, czuję potrzebę usprawiedliwić się... Usiądź tu, przy mnie.

Umilkła, jakby chciała siły swe zebrać. Anna lekko podniosła czarne włosy, twarz jej zasłaniające i stosując się do żądania na brzegu kanapy usiadła.

## XXXIII.

— Wierzaj mi Anno, że jestem mniej winną niż to się zdawać może, zaczęła Noémi. Jutro mnie już nie będzie, czuję jakby pragnienie prawdy. To co ci powiem Anno będzie zupełną prawdą, miałam w mem życiu złego ducha, a nim był mój stryj.

Jeżeli umieram jako szalona, jego o to winić potrzeba.

Anna ujęła obie jej ręce.

— Mów wolniej droga Noémi, lub nie pozwolę ci mówić. Serce moje słucha cię z uwagą. Powierz mi wszystko co chcesz, tylko pomału, spokojnie. Chwila obecna jest bardzo uroczystą, mówmy spokojnie o przeszłości.

Noémi opuściła głowę na ramię Anny, i jakby mówiąc sama do siebie, głosem cichym i wolnym tak ciągnęła.

— Życie, moje życie, tak świetne, nigdy nie znało prawdziwego szczęścia, obracało się ono i rzucało w próżnię. A próżnia, to smierć lub pomieszanie zmysłów dla natury namiętnej. Anno, wiesz ty czem było moje życie? Matka strojnie mnie ubierała, ojciec przesycał przyjemnościami, stryj uczył wszystkich sofizmatów. Ten człowiek był moją wyrocznią, znajdowałam go intelligentnym i ulegałam wpływowi jego rozumu. Mówisz o Bogu? Bóg panował kiedyś w sercu mojem. Pamiętam czasy w których odważnie broniłam mojej wiary, przeciwko wszelkim szyderstwom tego którego przezwałam Mefistofelem. Walka była niepodobną, byłam nadto samodzielną, nadto namiętną, aby się nie dać uwieść.

Cierpiałam z powodu tych szyderstw dotykających moje religijne nawyknienia, a potem jednego dnia, po długiej rozmowie w towarzystwie mężczyzn, zerwałam z tem co moja matka mistycyzmem nazywała.

Zapomniałam o Bogu. Niestety! charaktery jak mój, stanowcze, niezależne, nie dopuszczają podziału, raz zerwawszy te pęta upajałam się niepodległością.

Życie moje stało się wirem, a jeżeli nie było bezwstydem, to dla tego że umysłem tylko i na wszystko sceptycyzmem mego rozumu patrzyłam. Kobiety filozofki więcej są dumne jak kochające. Trawiona ciekawością mego umysłu, rzucałam się w badania nowych teoryi społecznych. Stałam się zabawna zuchwałością moich pomysłów, ale straciłam tę sympatyą która rodzi uczucia.

Raz, zmęczenie mnie opanowało, znudzenie przyszło, stałam się znowu kobietą i serce moje zaczęło szukać pokarmu. Smutny pokarm, smutna historya Anno! Lecz wreszcie kochałam, podczas gdy teraz nienawidzę. Och! nienawidzieć, jakże to strasznie!

— Noémi zmęczoną jesteś, odpocznij przerwała jej Anna.

— Nie, mówiąc cicho nie męczę się a mówić do ciebie ulgę mi przynosi. Co mówiłam?

— Zostaw to, a przejdźmy do dnia wktórym widziałam się otoczoną federalistami.

— Ach! tak! w którym zdawało mi się być wśród zapalonych entuzyastów, a znalazłam się opuszczoną i samą. Uciekali wszyscy... Wyjazd mego stryja podwoił moją egzaltacyę. Moi rodzice przygotowali ucieczkę i napróżno błagali abym z niemi jechała. Nic już nie słuchałam, tylko nadstawiłam ucha na hałas uliczny. Nie mieli odwagi mnie opuścić a ja wzruszona ich poświęceniem, obiecałam im jak najrzadziej wychodzić.

Na tej obietnicy polegając, zamknęli się szczelnie w swem mieszkaniu, wiedziałam o całym biegu wypadków z doniesień czynionych mi z łona samych komitetów, byłam popchniętą, nie mogłam już na pochyłości się zatrzymać i przyklaskiwałam wszelkim popełnionym gwałtom. Tego dnia w którym komitet wydał odezwę, wymknęłam się moim rodzicom i poszłam do klubów tworzących się w części Paryża do nas jeszcze należącej.

Cóż ci powiem więcej? Mój szał gorączkowy tak długo trwał jak trwała walka, i tam gdzie ja byłam gdybym cię spotkała przeciw sobie, byłabym strzeliła do ciebie.

— A teraz, szepnęła Anna, która słuchała z tajemnem lecz głębokiem wzruszeniem, przerywanego opowiadania Noémi.

Noémi ręką potarła zsiniałe swe czoło.

— Teraz, powiedziała! zdaje mi się że szał przeszedł i że rozsądek się budzi.

— A czyż rozsądek nie każe ci potępiać bezprawi w których udział brałaś?

Noémi rzuciła na Annę przeciągłe spojrzenie.

— Potępiam bezprawia, szepnęła, lecz nie potępiam nikogo. Ach! Anno, któż może zbadać serca i sumienia? Ja w dobrej wierze przyjmowałam marzenia które chciano urzeczywistnić.

Umilkła, i dodała głosem głębokim:

— Szaleni marzyciele podobni mnie już nie żyją.

Rumieńce gorączkowe na twarz jej wystąpiły i dodała głosem boleści i zgrozy:

— Co potępiam, to podłość, zdradę, grabież, to wreszcie niecne samolubstwo niegodziwych podżegaczy. Jeżeli nienawidzę to Mefistofelesa i jemu podobnych! Och! któż ich dosięgnie, któż ich ukarze, któż im każe zdać rachunek z krwi, łez i ruin?

— Bóg! odpowiedziała Anna.

— Tak Anno! zawołała Noémi i twarz jej się nagle wypogodziła.

A zamykając oczy, dodała:

— O mój Boże, jakże jesteś niezbadanym!

W tej chwili chrapliwe westchnienie przypomniało Annie nieszczęśliwego Bretończyka, o którym na chwilę zapomniała podczas zwierzeń Noémi. Kazała wstać Maï na wpół śpiącej, powierzyła jej Noémi a przywołując panią Barlot chodzącą ze świecą w ręku wpośród innych rannych, uklękła przy materacu gdzie cierpiał młody żołnierz.

Na dźwięk jej głosu, oczy otworzył.

— Zbliża się już, powiedział głosem szorstkim, lecz spokojnym.

— Kto?

— Śmierć.

— Ach! mój bracie, czyż możesz ją przewidywać?

— A jednak wiem; więc tu nie ma żadnego kapłana?

— Niestety! nie ma.

Ranny westchnął i dał znak Annie że się chce podnieść.

Anna i pani Barlot podsunęły do ściany poduszkę na której oparł swą głowę. Rękę włożył w kieszeń munduru i wyjął z niej jeden z tych prostych kapciuchów z kawałka skręconej skóry zrobionych.

Obmacał go.

— Pełny jest, tem lepiej! powiedział.

A podając go Annie, dodał:

— Dla mego ojca.

Wsunął rękę za kamizelkę, wyciągnął szkaplerz krwią splamiony i rzekł:

— Dla mojej matki.

Potem podniósł swą lewą rękę całą zdruzgotaną i wzrok jego spoczął na ślubnej obrączce znajdującej się na jedynym palcu który mu pozostał.

Anna zsunęła ją lekko i z uszanowaniem ze stwardniałych stawów tego biedaka.

Grube łzy spływały z ócz konającego i ledwie zdołał przemówić:

— Mojej żonie.

— Jakto mój bracie, jesteś żonatym? zawołała Anna.

— Od ostatniego jarmarku na ptaki, panienko.

Była chwila milczenia, chrapanie umierającego się wzmagało.

Gdy znowu mógł przemówić, powiedział:

— Spełnisz pani moje polecenia, nieprawdaż?

— O! tak, przyrzekam ci to uroczyście! odpowiedziała Anna z uniesieniem. A biorąc swój pugilaresik rzekła:

— Adres twojej rodziny?

Podniósł się i dobitnie wyrzekł te słowa:

— Guénolé Barsec, w Kerbie, Quimperlé.

Na to imię zadrżała Maïa ogrzewająca oddechem swoim zimne ręce Noémi. Podskoczyła do rannego, spojrzała na niego a padając na kolana:

— Jezu! mój biedny kuzyn Guénolé, załkała, i ciebież ja to spotykam w tem mieście nieszczęścia?

Młody żołnierz poruszył się, a Anna odmawiała modlitwy za konających. W tem umierający otworzył oczy a patrząc na Annę, szepnął ledwo dosłyszanym głosem:

— Krzyżyk!

Anna zdjęła mały krzyżyk i zbliżyła go do ust zsiniałych żołnierza.

Przeciągły pocałunek złożył on na świętym wizerunku, trzy razy uderzył się w piersi, i potem zwolna wrócił do zwykłego spokoju.

— A! wyrzekł jeszcze, wieczność lepsza od tego życia.

— Skonał! powiedziała pani Barlot zbliżając świecę do jego twarzy.

— Umarł! powtórzyła Maïa łkając.

Anna odmówiła drżącym głosem *De profundis* potem wstając zamknęła oczy bretońskiego żołnierza, zbliżyła jego ramiona, ręce złożyła, i powróciła do Noémi, która pochylona na kanapie, ani jednego szczegółu z tej sceny nie straciła.

— Jeszcze jeden męczennik, przemówiła Anna, czy słyszałaś ostatnie jego słowa?

— Słyszałam, odrzekła Noémi wzruszona do głębi.

W tej chwili krzyki, przeraźliwe śmiechy dały się słyszeć na ulicy.

— Oto są drzwi, rzućmy ją tu, zawołał w tej chwili jakiś głos.

I zanim pani Barlot i Anna zdążyły drzwi zaryglować, czterech ludzi czarnych od prochu, krwią

zbryzganych, weszło i złożyło na samym środku kobietę którą na rękach nieśli.

Spostrzegłszy tę okropną jędzę z czerwonym gałganem na głowie i czerwonych łachmanach na biodrach przepasaną, Noémi zadrżała od stóp do głowy.

— To jedna z moich towarzyszek! szepnęła chwytając Annę za rękę.

Nieszczęśliwa to usłyszała, i zerwała się jakby galwanicznym prądem dotknięta.

— A tak! ryknęła trzęsąc swemi siwemi włosami. Gwałtowny spazm przerwał jej dziką mowę.

— Umiera! zawołała pani Barlot, która podbiegła aby ją miłosiernie podtrzymywać.

Wzrok umierającej na wpół przygasły błądził po suficie, którego złocenia błyszczały od świecy palącej się w kryształowym kandelabrze.

— Cha! cha! cha! co tu złota!

I życie jej zerwało się w tym ostatnim wykrzyku.

*d. n.*

## KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

*Ze Lwowa.*

Praca społeczna przy pomocy Boskiej, jakoś u nas zaczyna się coraz pomyślniej rozwijać. Z wyjątkiem literatury, która u nas nie znalazła w ostatnim roku nowych i prawdziwych taletów a nawet nie wzbogaciła się dziełami trwałej wartości, wszystkie inne kierunki pracy społecznej wykazują postęp niezaprzeczony, zdobycze wcale cenne i pożądane. Twierdzenia tego nie będziemy objaśniać i uzasadniać szczegółowem przytaczaniem wszystkich wypadków, które się wydarzyły od początku bieżącego roku, bo musielibyśmy streszczać szereg tegorocznych korespondencyi lwowskich. Powołując się tylko na nie przystępujemy do podniesienia tych korzyści, które przyniósł nam miesiąc ubiegły, najważniejszy ze wszystkich swoich kolegów tegorocznych.

Otóż sesya rozpoczęta wcale niepomyślnem zniechęceniem, zupełnym brakiem wiary a nawet pewną apatyą publiczności, skończyła się nad wszelkie spodziewanie pomyślnie i zostawiła po sobie wiele cennych pamiątek. Kilka ustaw uchwalonych może już w krótkim czasie sprowadzić bardzo pożądane przekształcenie stosunków gospodarczych i społecznych. Najważniejszą pod tym względem jest ustawa o używaniu wody. Jak w dogmat nienaruszalny wierzy z nas każdy, że główne źródło dobrobytu spoczywa u nas w rolnictwie, że Galicya jest krajem rolniczym *par excellence* a dotąd tak mało zrobiono, ażeby rolnictwo jak w innych krajach europejskich rozwinęło się u nas na wypróbowanych podstawach racyonalnego postępu. Nawodnianie i drenowanie jest u nas rzadką osobliwością nawet w wzorowych gospodarstwach, wskutek czego w niejednem miejscu wielkie przestrzenie urodzajnej ziemi niosą bardzo mały dochód albo nawet leżą odłogiem. Woda w rzekach publicznych zamiast stać się siłą w najwyższym stopniu produkcyjną, zamiast być nieocenionym darem bożym, uważaną jest u nas raczej za żywioł niszczący, bo bardzo mało zrobiono w tym celu, ażeby zapobiedz wylewom rzek, ich korytom nadać kierunek odpowiedni gospodarczym interesom okolic.

Z kolei co do doniosłości praktycznej, następują po ustawie wodnej trzy nowe do ustawy gminnej i ustawa o sądach rozjemczych. Te cztery ustawy wyczerpują tylko w małej części zadanie, jakie wytknięto sobie już od lat kilku. Wszyscy w kraju oddawna uznali, że dzisiejszy ustrój naszych gmin oparty na nienaturalnym rozdziale jest bardzo wadliwy i uniemożliwia spełnienie obowiązków, jakie na gminę wkłada automiczna organizacya kraju.

Zadanie to olbrzymie nie mogło być dotąd spełnionem, bo sesye trwają kilka tygodni a czas tak krótki wystarcza zaledwie na uporządkowanie spraw administracyjnych i uchwalenie co najpotrzebniejszych ustaw.

Dwie szkoły fachowe zawdzięczać będziemy ostatniej sesyi sejmowej: szkołę weterynaryi i szkołę leśną. Pierwsza ma już uchwalony statut organicyjny wraz z etatem sił nauczycielskich i nie zadługo zapewne zostanie otwartą, druga zaś jest już od 1 listopada otwartą. Są to pierwsze w kraju instytucye tego rodzaju. Galicya jest krajem rolniczym, tak przynajmniej wszyscy powtarzamy sobie od niepamiętnych czasów, a dotąd chów bydła wystawiony jest ustawicznie na rozmaite zarazy, które w braku uzdolnionych weterynarzów pochłaniają corocznie mnóstwo ofiar. Galicya posiada nieprzebrane źródło bogactwa w olbrzymich obszarach lasów, to zdanie także nieustannie powtarzamy, a dotąd nie postaraliśmy się o uzdolnionych leśników. Kurs leśny przy tutejszej akademii technicznej nie był w stanie dostarczyć potrzebnych kandydatów do zawodu leśniczego, bo nie posiadał ani potrzebnych środków materyalnych ani dostatecznych sił nauczycielskich. Z tego powodu zawód leśniczego uważany był godnym tylko ludzi; którzy nie pokończywszy szkół i nie mogąc znaleść innego zajęcia, rzucali się na pole, które w oczach ich nie potrzebowało żadnego uzdolnienia fachowego. Nie dziw zatem, iż właściciele lasów wyznaczali swoim leśniczym małe płace, bo i te przewyższały nieraz rzeczywistą korzyść. A czem jest dla zdrowia ludzkiego szarlatan, który nie ma pojęcia o medycynie i blagą okpiwa chorych, tem jest dla naszych lasów większa część dotychczasowych leśniczych. Ludzie ci nie mają najmniejszego pojęcia o rozumnem, umiejętnem gospodarstwie leśnem, a jeżeli który z nich ograniczał się tylko do pilnego trapienia szkodników leśnych, to uchodził już za wzór dobrego oficyalisty. Z tąd wynikły i wynikają dotąd wcale smutne następstwa. Nasze wspaniałe obszary leśne pustoszeją w sposób zatrważający a jeżeli stan taki potrwałby jeszcze dłuższy czas, znaczne przestrzenie kraju zostałyby zupełnie z drzewa ogołocone. Wprawdzie nie jest to wyłącznym skutkiem braku uzdolnionych leśników, bo także i właściciele lasów źle pojmują swój interes i nie umiejąc cenić wartości drzewa pozbywają go się za lada jaką cenę. Ale jakżeż wymagać można od gospodarzy starannej konserwacyi obszarów leśnych, skoro nie mogą znaleść potrzebnych do tego ludzi, skoro dotychczasowa gospodarka leśna nie przynosi im odpowiednich korzyści.

W świecie artystyczno-literackim wiele wrzawy wywołało pierwsze przedstawienie tragedyi *Krok* napisanej przez p. Bronisława Komorowskiego na tle przedchrześcijańskich dziejów Słowiańszczyzny. Młody autor tej 5 aktowej tragedyi stanowi smutny przykład, jak często jeszcze u nas wyższy talent mimo niezwykłej sumienności i pracowitości walczyć musi z pewną nieufnością i brakiem uznania. P. Komorowski napisał już kilka utworów scenicznych mniej znakomitych niż *Krok*, ale zawsze różniących się wybitnem znamieniem poetyckiego talentu od całej powodzi dzieł innych rówienników. Mimo to krytyka mało zwracała uwagi na jego utwory, scena nie przedstawiała ich a tymczasem pół tuzina szarlatanów dramatycznych dobiło się niezasłużonego rozgłosu, który w prawdzie już dawno ulotnił się ale zawsze dzięki niedołężnej i stronniczej krytyce trwał długo, za nadto długo. Zdawało się przed dwoma laty, że p. Komorowski znajdzie wreszcie zasłużone uznanie, bo w Krakowskiej Komisyi konkursowej *Krok* od pierwszej chwili był najsilniejszym konkurentem o pierwszą nagrodę. Dopiero w ostatniej chwili, w sposób niespodziewany *Krok* zepchnięty został z pierwszego miejsca a nagrodę otrzymała *Rognieda*, dotąd jeszcze wcale nieznana ani publiczności ani nawet światu literackiemu. Nie lepiej powiodło się p. Komorowskiemu na zeszłorocznym konkursie Lwowskim, gdzie palmę zwycięztwa uzyskał dramat autora, który dotąd napisał kilka rozprawek krytycznych wątpliwej wartości a na polu dramatycznem jest jeszcze dyletantem.

Kto umiał cenić piękny talent p. Komorowskiego ucieszył się wiadomością, że *Krok* przedstawiony będzie na scenie lwowskiej. Dwukrotne przedstawienie tej tragedyi nie zawiodło oczekiwań tych, którzy cenią w autorze wysoki talent poetycki a prześcignęło oczekiwania osób niedowierzających wszystkim naszym teraźniejszym utworom dramatycznym. Po przedstawieniu każdy widz przyznać musiał, że rzadko na scenie naszej spotkać się można z tak świetną dykcyą poetycką, z tak wspaniałym kolorytem historycznym i taką bogatą a sympatyczną wyobraźnią jak w *Kroku*. Są w tym utworze niezawodnie i usterki tak pod względem budowy jak i charakterystyki dramatycznej ale jeżeli się zważy, że autor jest tak młodym i mimo niezasłużonych niepowodzeń tak pięknie rozwija swój talent niepospolity, to nawet najsurowsza i najbezwględniejsza krytyka musi wydać sąd stanowczo pochlebny. Kompetentne głosy krytyczne wydały istotnie taki sąd o *Kroku* ale nie brakło także wyroków dyletanckich, którym nasze dziennikarstwo polityczne tak chętnie otwiera szpalty w swoich wiecznie głodnych i wiecznie nienasyconych rubrykach artystycznych. Wyroki te niesprawiedliwe pochodziły od krytyków którzy na recenzyach rozpoczynają zawód literacki i wcale nie podzielają zdania, jakoby do napisania dobrej i sprawiedliwej recenzyi potrzebną była pewna wytrwałość literacka i fachowe wykształcenie. Tak dalece krytyki te nosiły cechę dyletantyzmu, że sam autor *Kroku* widział się spowodowanym zabrać głos publicznie i w sposób nie wyrządzający najmniejszej ujmy skromności pisarskiej, wykazać przeciwnikom jaskrawe dowody ich nieznajomości dziejów i prawideł krytyki. Wypadek ten stanowi trafną illustracyę do smutnych uwag, które wypowiedzieliśmy w jednej z poprzednich korespondencyi o krytyce lwowskiej.

W drugiem przejrzanem i pomnożonem wydaniu wyszło dzieło dr. Stefana Pawlickiego *Mózg i dusza*, drukowane w ubiegłym roku w Krakowskim przeglądzie polskim. W dzisiejszych czasach tak śmiałego dyletantyzmu naukowego miłe a raczej pocieszające wrażenie sprawiać musi książka napisana z potrzebnym zapasem naukowego materyału, sumiennie, pracowicie i dokładnie. Wszystkie te zalety posiada książka dr. Pawlickiego a jest ona miłem zjawiskiem jeszcze i z tego powodu, że stanowi prawdziwie umiejętną odprawę daną materyalizmowi i jego niedowarzonym adeptom. Z znakomitą bystrością odsłania autor wszystkie ujemne strony materyalistycznej doktryny i uderza na nią jej ułomnemi konsekwencyami naukowemi. Chociaż autor jest członkiem zakonu okrzyczanego za ognisko zagorzalców religijnych, nigdzie nie unosi się ani nie lekceważy swoich przeciwników lecz przemawia do przekonania w sposób spokojny, prawdziwie godny jego talentu i nauki. Polecamy tę książkę na gwiazdkę wszystkim naszym i waszym wielbicielom Büchnera, którzy nie umieją odróżnić sofizmatów od czystej prawdy a naukowego badania od wybryków śmiałej a chorobliwej wyobraźni.

Odkąd nieustannie powtarzamy skargę na brak monografii historyczno-literackich, każdy autor przedstawiający trochę gruntowniej życie i dzieła głośnego pisarza może być pewnym, że praca jego zwróci na siebie powszechną uwagę i spotka się z zachętą pobłażliwej krytyki. Do tej pobłażliwości nie potrzebuje apelować rozprawa p. Bronisława Zawadzkiego

o Mikołaju Reju z Nagłowic, bo ma nie jedną pochlebną zaletę. Przebija z niej zdolność pisarska, znajomość przedmiotu i zmysł krytyczny. Ale mimo to wszystko monografija o Reju nie wyczerpuje przedmiotu, nie daje zupełnie dokładnego wyobrażenia o stanowisku, jakie ten pisarz zajął w dziejach naszej literatury. Najpierw bowiem pominął autor dwa działy pism Reja: teologiczny i społeczno-polityczny. O pierwszym wspomina ogólnikowo a o drugiem w sposób bardzo pobieżny. A przecież są to dwa ważne kierunki działalności pisarskiej M. Reja, które tem mniej zasługiwały na pobieżne traktowanie, ile że autor w sposób apedyktyczny upierał się z jego poezyami stawiając je na równi z mechanicznem wierszoklectwem dzisiejszego kroju. To ostatnie twierdzenie jest nadto śmiałe, ażeby czytelnik uwierzyć mógł autorowi na słowo, zwłaszcza wobec faktu że wszędzie przedstawiano dotąd M. Reja jako „ojca" poezyi polskiej. Za to przypisuje autor Rejowi zalety paradoksalne i wątpliwej wartości. Czyż bowiem znane nieuctwo Reja zasługiwało na to, ażeby przedstawione było jako jeden z główniejszych czynników jego literackiego znaczenia? Czyż pisarz z wszechstronnem wykształceniem nie może już tworzyć trafnych obrazów społeczno-obyczajowej strony swojego wieku? Rzucamy tych kilka uwag bez pretensyi do krytyki w całem słowa tego znaczeniu, bo na to nie pozwalają ramy korespondencyi. Byłoby jednakże rzeczą bardzo pożądaną ażeby pióro kompetentne poświęciło rozprawie tej obszerniejszy rozbiór, któryby mógł posłużyć za dyrektywę przy pisaniu podobnych, dla nas dziś niezmiernie potrzebnych monografii.

*Dr. B. Ł*

## POGADANKA.

Gęś, których milijony opłaca głową dzień św. Marcina, zapowiedziała zimę więcej śnieżną jak mroźną. Jeźli sprawdzi się, to stróże warszawscy będą ją przeklinać a sankarze błogosławić, bo pierwszym dla miotły przysporzy roboty, drugim jej ujmie. Dziś mamy sannę i to nie ostatnią; śnieg bieli się na wszystkich dachach, murkach i parkanach; drzewa puszą się śnieżystym przystrojem, wróble żałośnie świegolą, wrony gibając się brodzą po kolana, a przechodnie paląc koziołki na flizach złorzeczą zimie, śniegowi i zamiataczom. W Berlinie także spadł śnieg ale poprzedzony grzmotem i błyskawicą; środkową zaś Europę, nawiedzają trzęsienia ziemi, połączone z głuchym podziemnym łoskotem; są to niespodzianki jedne dziwne, drugie straszne, jak czasy obecne, którym dałbym chętnie kij pielgrzymi, aby poszły na bory i lasy.

Warszawa daleka od tak posępnego nastroju, napełnia tłumnie wszystkie świąteczne muzyki, brzęczy sankami, baluje w Tivoli, unika drogich koncertów, a obu teatrom wiernie służy domagając się gwałtem trzeciego.

Do koncertów drogich brakło pewnie nie ochoty ale rubli, do teatrów chęć wzmogła się w miarę przyswajania scenie jaskrawej wartości utworów. Jeden ze sprawozdawców tygodniowych podniósł zasługi reżyseryi w widocznem od pewnego czasu protegowaniu swojskich prac dramatycznych. Rzeczywiście jest tak, tylko... wyboru nie ze wszystkiem pochwalamy. Gdyby z przyjęciem nowych sztuk nie było tyle co jest trudności, znaleźliby się z pewnością prawdziwie utalentowani pisarze, którzy przez wstęp ułatwiony wprawiając się, rozwinęliby się tak pomału, że tłomaczone sztuki na podrzędne zeszłyby stanowisko. Wiemy o podobnych pracach już przedstawionych dyrekcyi i innych spoczywających jeszcze w szufladzie autorskiej: przedstawione czekają lata... bez odpowiedzi nawet a z przygotowanych sam pan Jasiński były dyrektor teatrów ma ich kilkanaście, dla czego nie skłonić go do ich udzielenia dyrekcyi. Może nie są to arcydzieła, ale bez wątpienia utwory mniej więcej zawsze udatne, nacechowane zręcznością i doświadczeniem scenicznem, a w każdym razie nie skandaliczne. Zwrócenie się z żądaniem do p. Jasińskiego nie będzie dla nikogo ubliżającem, ta grzeczność należy mu się jako dawnemu pracownikowi w artyzmie scenicznym, później jego przewodnikowi a dziś weteranowi dobrze zasłużonemu Gdyby dostanie się z nową sztuką do teatru było łatwe, jestem przekonany, że sam jeden Kraszewski już by był komedyi i dramatów z kilka dziesiątków napisał.

Z nowym rokiem ma wychodzić nowe pismo miesięczne p. t. *Przegląd Techniczny* poświęcone sprawom techniki i przemysłu. Wydawnictwo to wielce pożądane witamy z największą życzliwością, bo wspomagać ma pracę społeczną, od której dobrobyt ogólny zależy. Program obszerny, dotyka wszystkich działów do niej należących, pismo więc nie dla specyalistów ale dla każdego pragnącego oswajać się z naukowemi zdobyczami w praktyce znajdującemi zastosowanie wielce ciekawe i nauczające. Brakowało go nam bardzo.

Mamy także już prospekt *Opiekuna Domowego* poświęconego rodzinom i głównie sprawom wychowania ktory od nowego roku w podwójnym będzie wychodzić arkuszu, i *Niwy* dwutygodnika naukowego. Pożytku pism podobnych nikt nie zaprzeczy, a my nie wątpimy że obie redakcye odpowiedzą godnie swemu przeznaczeniu, zwłaszcza, że *Opiekun* uposażył się w nowych pracowników, którzy dzielnie przyczynią się do jego rozwoju a *Niwa* przeszła pod kierunek trzech zdolnych młodych pracowników znanych dobrze czytającej publiczności, panów: M. Godlewskiego, T. Ochorowicza i H. Sienkiewicza. W prospektach ogłoszonych to przybycie nowych sił *Opiekunowi* i zmiana kierowników *Niwy*, jasno się przedstawiają w szeroko zakreślonym planie i w rozumnem umiarkowaniu pragnień swych i dążności. Życzymy szczerze powodzenia i nie wątpimy że się spełni, bo u nas nie brak ludzi co poczciwą i pożyteczną pracę umieją ocenić.

*Ognisko domowe* pismo tygodniowe z nowym redaktorem panem B. Przeręblem, przybrało się także w nową szatę i w nowy zupełnie kierunek nie mający najmniejszego związku z dawniejszym. I ono po części służy wychowaniu, więcej jednak literackiem nazwać je należy.

Przy takiem ożywieniu się ruchu prasy peryodycznej bardzo na czasie był artykuł p. L. Niemojowskiego w Gazecie Polskiej, o tak zwących się pozytywistach i idealistach dzielących kraj cały jakoby na dwa wrogie sobie obozy. Autor bardzo słusznie dowodzi, że takiego podziału nie było i nie ma, że wszyscy pracownicy pióra do jednego dążą celu tylko innemi drogami, i że tylko szczupła garstka błędnych rycerzy, mających się niby za pozytywistów, rozdział ten sztucznie utworzyli. Oni to, powiada, pierwsi dwa kierunki o jednym celu nazwali przeciwnemi obozami; oni do piśmiennictwa wprowadzili wyrażenia i zwroty, o jakich dotąd osoby mające poczucie własnej i cudzej godności ani pojęcia mieć nie mogły; oni wreszcie zmięszawszy pozytywizm z podkopującym zasady moralności ateizmem, pchnęli mniej doświadczonych na drogę prowadzącą do zatraty wszelkich pierwiastków dobrego a nas ludzi starej daty, odstręczyli od idei zanieczyszczonej w samej jej zarodzie lekceważeniem najświętszych dla człowieka uczuć.

Garstka ta złych i przewrotnych zrobiwszy swoje to jest wyzyskawszy łatwowierność szumnemi obietnicami i pozorami uczciwej dążności, dziś przycichła. przypadkiem tylko uchyla maski i zacierając ręce uśmiecha się chytrze z tych, co tak nikczemnie w pole wyprowadziła. Przeciw nim to wzywa p. L. Niemojowski, aby wszyscy uczciwi pisarze, zarówno dawniejsi jak świeżo powstali, wspólnemi siłami działali i tym sposobem wszelkie jej na przyszłość podobne zachciewki udaremnili.

Z Indyi Wschodnich donoszą, że tam bawi jakiś książe Czetwertyński i w górach Tybetu urządza polowania na dzikie kozy. Sądząc z tytułu i z nazwiska zdaje się że to jeden z synów naszej ziemi; biedaczek! aż tam pobiegł szukać w nudach życia zabicia powolnie wlokącego się czasu. Niechże poluje, czepia się po górach, ściga i kark skręca, nie zazdrościmy mu niczego. Podobnie pracowitych próżniaków każda posiada społeczność i my ich na nieszczęście mamy sporą wiązkę, choć pracy po uszy a głów do niej na gwałt potrzeba.

Oto w artykule Gazety Polskiej, p. t. Praca kobiet, Nr. 253, powiada antor: pracowitsi i oszczędniejsi wszędzie nas wyprzedzają i wydziedziczają ... a my... strzelamy lwy w Afryce a kozy w Tybecie.

Według wykazu statystycznego w roku zeszłym w samej Warszawie ujęto włóczęgów i żebraków 3945, i wykazano że od roku: 1870 nie tylko nic ich nie ubyło, ale przeciwnie przybyło aż 843. W zeszłym i tym roku policya czynnie bardzo około nich się krząta, mimo tego przed natrętwem żebraczem niczem się nie zabezpieczysz: zarygluj się, zamknij oczy zatkaj uszy, żebrak dostanie się do ciebie przez okno, przez dziurkę od klucza, a na ulicy przytrzyma i nie da kroku postąpić. Są niektórzy co już nawet nie proszą o datek ale wprost dopominają się go jako obowiązku; masz więc daj bo ja nie mam.

Gmach też więzienny w Warszawie już za ciasny jest na pomieszczenie mnożących się winowajców, a we wszystkich miejscach publicznych co tylko może być wzięte i schowane, na wzór amerykański, ma być okute i przybite nawet kapelusze na głowach i spinki u mankietów.

Korespondent z Częstochowy Kuryera Codziennego, doniósł niedawno o podpaleniu stodół miejskich z widocznym zamiarem puszczenia w perzynę jeźli nie całego miasta, to znacznej jego części.

Cieszą się że rada miejska wypracowała już projekt urządzenia Domu dla wysłużonych sług i wyrobników; piękna to będzie instutucya, ale piękniejszą byłaby... Kasa oszczędności z miejscowej wyrosła potrzeby. Jako fakt zachęcający, doniesiono z Drezna że zmarła tamże wdowa Mielęcka, zapisała całe swe mienie wiernej służącej; i to fakt pocieszający ale utonie w codziennem życiu jak kropla w morzu.

Wszak i my w Warszawie posiadamy zapisy ś. p. Zacharkiewicza na wynagradzanie dobrej i długoletniej w jednem miejscu służby, czyż to jednak wywarło jaki taki wpływ zbawienny? Klasa służebna nie tylko nie poprawiła się, ale widocznie popsuła, czegoś więc innego potrzeba jak nagród i zapisów pojedynczych indywiduów. Tem czemsić to oświata podnosząca moralność i obudzająca pojęcie rozumne dobrze zrozumianego interesu własnego. Ile społeczność traci na pomijaniu środka tak zbawiennego, co chwila zjawiają się bardzo wymowne dowody.

Niedawno w Tarnowie w Galicyi, czternastoletni chłopiec wiejski stawał przed sądem przysięgłych, oskarżony o podrabianie banknotów pięcioreńskowych jedynie tylko przy pomocy śniedzi pszenicznej zamiast tuszu i jagód z kaliny zamiast czerwonej farby. Gdy sąd zeznaniu temu nie chciał dać wiary, małoletni fałszerz w przeciągu pół godziny w oczach sędziów sfabrykował banknot i wyrysował ołówkiem prezesa sądu z uderzającem pobobieństwem.

Od profesora Kremera, jak to opisuje p. K. W. Wójcicki w Kłosach, prosty wieśniak pożyczał dzieła filozo-

ficzne i nie tylko czytał je pilnie ale w większej części rozumiał, a czego nie pojął prosił o objaśnienie. Obadwa zaledwie umieli tylko czytać, wieśniak już umarł a chłopiec umrze moralnie, bo skazany został na trzy lata do domu poprawy. Jacyżby to ludzie mogli się z nich wyrobić, gdyby się byli kształcili odpowiednio do swych zdolności od lat najmłodszych.

## Przegląd teatralny.

„Z postępem." – Komedya w 5-u aktach wierszem, oryginalnie napisana przez Kazimierza Zalewskiego.

*Je prends mon bien ou je le trouve.*" — zwykł był mawiać Molier. Pod tarczą tego zdania chowają się i dziś pisarze, zmuszeni ubóstwem pomysłów do zapożyczania się w obfitej skarbnicy prac poprzedników. Ale Molier miał za sobą potęgę geniuszu, która na każdym temacie, na każdej scenie i postaci wyciskała indywidualne a nieśmiertelne piętno. Tak prawdziwy zdobywca przyswajał sobie wszystko czego się dotknął. Brał martwą glinę, surowy i twardy materyał i tworzył z niego posągi wiecznotrwałe a piękne, bladym cieniem ludzkie malował kształty, drobne spostrzeżenia i zarysy nabierały pod jego ręką mistrzowską okrągłości, prawdy i wyrazistości typu. Inaczej poczynają sobie niestety! dzisiejsi naśladowcy. Świętokradzką dłonią zrywają najpiękniejsze kwiaty z poświęcanego mistrzów ogrodu i przenoszą cichaczem na bibułę swego zielnika; niepomni, że to, co w atmosferze właściwej oddychało świeżością, blaskiem i wonią, tutaj zwiędnąć i zmarnieć musi. Postacie obcego, wielmożnego twórczością świata, wprowadzają do swoich ubożuchnych lepianek i nie umiejąc wznieść się na poziom odpowiedni, powlekają wszystko pokostem pospolitości i niedołęztwa. Najczystsze złoto w ich tyglu rzemieślniczem zmienia się w aliaż podły, i tylko bystre a doświadczone oko w miedzianej powłoce odkryć może żyłki szlachetnego kruszcu.

Czy p. Kazimierz Zalewski, początkujący komedyopisarz poszedł tą naśladowniczą drogą, czy też wystąpił na pole działania z pracą własnej myśli, z siłą przekonań, skierowanych ku dobru społecznemu, spotęgowanych talentem dzielnym i ożywczym, o tem przekona rozbiór jego komedyi, przedstawionej w przeszłą Sobotę, na scenie teatru Rozmaitości.

Autor wrogie postępowi żywioły społeczne grupuje w trzech postaciach: arystokraty rodowego, dorobkiewicza, co na ekonomstwie dorobił się uczciwie grubej fortuny i bankiera ex żyda, dziś barona spekulującego na giełdzie. Akt pierwszy wprowadza nas do salonów hrabiego Kobylańskiego. Hrabia ma syna i córkę, rekomenduje się zaś widzom jako pan znacznego majątku odziedziczonego po przodkach. Dzięki temu wygodnemu stanowisku, hrabia nic nie robi i pozostałby prawdopodobnie bezczynnym aż do końca komedyi, gdyby autor nie zbudził w nim nagle i niespodziewanie żądzy spekulacyjnej, która przez całe życie była mu obcą. Kobylański na prostą pogłoskę przyniesioną przez jego krewną, plotkarkę i dewotkę, że w dobrach bankiera Silbera odkryło się źródło nafty, postanawia rzucić w to przedsiębierstwo cały swój majątek, kolosalną summę 500000 reńskich. W Epidemii, która mimowolnie nam się tu nasuwa, namiętność giełdowa Karwackiego zrodziła się z naśladownictwa a spotęgowała początkowem powodzeniem, tutaj nic nie usprawiedliwia Kobylańskiego, którego harakter, bierny, leniwy, nie przedsiębierczy, nie pozwala nawet przypuszczać podobnej żądzy. Hrabia jednak przyjąwszy zaproszenie na bal do ex-ekonoma Przepiórkiewicza, spieszy co prędzej do Silbera zawrzeć układ o naftę. Jednocześnie widzimy p. Artura, syna hrabiego powracającego nie na trzeźwo z koleżeńskiej pohulanki, gdzie starał się jak najweselej tracić ojcowskie pieniądze. Siostra jego, sentymentalna Aniela, marzy o przystojnym chłopcu, koledze brata, który poszedł w świat za nauką i chlebem. Przystojny chłopiec powraca z patentem inżyniera, (szczęśliwi ci inżynierowie!) co wyradza w widzach niepłonną nadzieję, że młodzi ludzie pobiorą się pod koniec piątego aktu.

Zanim jednak to nastąpi, hrabia musi być zrujnowanym. Przygotowania do tego dzieła zniszczenia, odbywają się w akcie drugim. Scena przedstawia kantor bankierski, komisanci pracują przy biórkach. Główny komisant zawiadamia publiczność w pompatycznym monologu, że giełda jest także teatrem, gdzie odgrywają się komedye i dramy. Wchodzi Silber z miną człowieka stojącego nad przepaścią. Źle mu idzie, fortuna odwróciła się tyłem, bankructwo bliskie. Trzeba się ratować jakimbądź kosztem. Plan Karszowa leży na stole a w nim fałszywe źródła nafty. Byle zarzucić sieć, głupich się nałowi. Na to zjawia się Kobylański, z gotową już chęcią przystąpienia do interesu. Dwaj przeciwnicy badają najprzód ostrożnie grunt, nareszcie przystępują otwarcie do walki. Silber twierdzi, że chce wypuścić akcye, że ma już dosyć majątku i pragnie zyskiem z krajem się podzielić. (Jaki związek akcyonaryuszów z krajem? rzecz nader ciekawa). Na to Kobylański:

A gdyby się kto znalazł, coby przyszedł szczerze
Do pana i powiedział: — Baronie Silberze,
Nie znasz świata — chcesz ludzi traktować jak braci,
Z nich każdy przyjmie dobre, lecz złem ci zapłaci.
Oni twej filantropii nigdy nie ocenią,
Tylko w szlachetnych rodach uczucia się plenią
My jedni — tak baronie — w nas się zachowały
Serca, w których uznanie znajdzie czyn wspaniały.
. . . . . . . . .
Udaj się do tych, którzy ocenić cię mogą;
Bo czyn wielki, jest dla nich tradycją rodową.

Tak przemawia dumny arystokrata, pan z panów, do bankiera żyda i to w kwestyi eksploatowania nafty. Bądź co bądź Silber nie daje się długo prosić. Hrabia daje 500000 reńskich i przystępuje do spółki. Bankier uradowany, tłomaczy synkowi, który w braku innych zajęć fałszuje weksle papy, — że starał się o zbogacenie powodowany jedynie miłością ojcowską.

Jeżelim ryzykował — to aby miliony
Pozostawić dla siebie, dać przyszłość bogatą
Bom sądził że w twem sercu znajdę wdzięczność za to,
Ostatki grosza niosłem na twoje usługi.
Tyś marnował lichwiarskie zaciągając długi,
Aż wreszcie, gdym w potrzebie z tobą się rachował
Tyś jak ostatni nędznik, mój weksel sfałszował.
. . . . . . . .

I dalej:

Nic nie wygrasz już w prośby sposobie,
Zresztą możemy dzisiaj podać ręce sobie.
Bo ja, aby nie stanąć przed dnem kassy pustem
Zrobiłem to co i ty, — zostałem oszustem.

Wyborna ta logika bankierska! — „pracowałem, aby zyskać twoją wdzięczność, nie znalazłszy wdzięczności dopuszczam się oszustwa, żeby znowu mieć miliony dla ciebie", Brawo, baronie Silberze, brawo!

Po tej scenie pseudo-dramatycznej, przychodzi do bankiera inżynier Krzyski, przedmiot marzeń panny Anieli, zawezwany do stwierdzenia powagą nauk podstępnej spekulacyi. Ten Silber przy całym swym ojcowskim liryzmie, jest wcale niezręcznym, skoro do przeprowadzenia bezczelnego oszustwa wybiera sobie nieznanych ludzi, Krzyski też zwąchał pismo nosem, widzi niedokładność planu i otwarcie to bankierowi oświadcza. Silber z kwitkiem go odprawia, zalecając aby szukał sobie zajęcia gdzieindziej. Kobylański przychodzący z pieniędzmi spotyka Krzyskiego w salonie bankiera (nowa niezręczność) pyta go nawet o radę co do nafty ale nie daje mu czasu na odpowiedź gdyż spieszy się zawrzeć korzystny interes. Gdyby inżynier był pośpieszniejszym w słowie, komedya nie miałaby trzech następnych aktów.

Akt trzeci odbywa się u Przepiórkiewicza, zbogaconego ekonoma, Przepiórkiewicz jest po prostu bladą i niedokładną kopją Geldhaba. Przy podniesieniu zasłony widzimy go wydającego rozporządzenia służbie przed balem:

Hej! halastra cała
Gapie! chodźcie tu—znacie swego jenerała
Widzicie pana Żaka—słuchajcież go wszędzie
Tak, jakby mnie samego. On tu panem będzie
A chłodników nie spijać—nie zlewać na tacę!
Nie lenić się w usłudze—bo wam za to płacę,
Sosami nie oblewać—nie wynosić wina.....

Co do nas wolimy tę samą scenę w Geldhabie:

U mnie musi być wykwint, zbytek, przepych wszelki...
A resztki wina zcedzić do jednej butelki.

Zresztą Przepiórkiewicz nie wypiera się swego pokrewieństwa z Geldhabem, gdyż zaraz przy pierwszem wejściu na scenę mówi wierszami żywcem wyjętemi z komedyi Fredrowskiej:

*Przepiórkiewicz.*

To śliczności! Więc najprzód pod stopki się ścielę
Wszystkim państwu z kolei.

*Kobylański.*

Honoru za wiele.

Podobnie jak Geldhab, nasz ex-ekonom ma córkę, którą pragnie wydać za hrabiego Artura Kobylańskiego. Emcia osóbka sprytna i praktyczna kocha wprawdzie Artura, ale trzyma go na wodzy, nie będąc pewną przyzwolenia starego hrabiego. Akt trzeci składa się przeważnie z samych oświadczyn, na które poprzednio, z powodu sprawy o naftę, czasu nie było. Artur oświadcza się Emmie pod alegoryczną osłoną bajki o „róży i motylku." Naszem zdaniem, jest to jedyna oryginalnie pomyślana i zręcznie prowadzona scena w komedyi. Jaka szkoda, że cały jej efekt psuje zaraz niesmaczny i niezgrabny do najwyższego stopnia dyalog Anieli ze Zdzisławem Krzyskim. Młody inżynier jeździł umyślnie do Karczowa przekonać się o rzeczywistości nafty. Po tygodniu powraca i przychodzi na bal do Przypiórkiewicza, aby ostrzedz Kobylańskich. Zagaduje najprzód Artura, ale nieszczęsne przyzwyczajenie do szumnego i zawiłego stylu, staje mu na przeszkodzie. Artur nie słucha przyjaciela gdyż lęka się stracić kadryla z Emmą: nadchodzi Aniela, i Zdzisław prawi do niej w ten sens:

Nie moja to wina
Lecz chciej wierzyć, w istocie są takie zdarzenia,
Nagłe nieprzewidziane, że wszystko się zmienia
Jakby w kalejdoskopie—często jedna chwila
Najważniejsze wypadki w życiu nam przesila;
Każe zerwać z przeszłością—nową erę znaczy,
I o całej przyszłości stanowiąc inaczej,
Jakby na dwie połowy całe dzieli życie.

Aniela biorąc to za wstęp do dawno oczekiwanych wyznań miłosnych, ułatwia inżynierowi zadanie i z skwapliwością właściwą dobrze wychowanym hrabiankom, sama mu się oświadcza:

A jeśli takiej zmiany ktoś już pragnął skrycie...
To, co z trudnością mówić przychodzi dla pana,
Dla mnie może rzecz miła, długo pożądana.
Choć się pan nie spodziewasz—może grunt gotowy
Abym z całem przejęciem słuchała twej mowy,

Scenę tę publiczność przyjęła głośnym śmiechem, wbrew zapewne oczekiwaniom autora.

Nieszczęsny Zdzisław nie mogąc nikogo przestrzedz zdobywa się na czyn heroiczny i znieważa przy kartach barona Silbera, co sprowodza mu pojedynek z jego synem.

W akcie czwartym, Kobylański jest już zrujnowanym, Nafta pokazała się wodą cuchnącą. Wierzyciele nachodzą go tłumami, a niedołężny arystokrata przemyśla nad sposobami ratowania się z biedy. Sposób z resztą jest bardzo łatwy; trzeba sprzedać córkę za jaką bądź cenę. Nabywcy przychodzą kolejno układać warunki targu. I któżby pomyślał, że Silber, ten oszust Silber, który okradł hrabiego i sam się zbogacił, przybędzie jeden z pierwszych i znajdzie posłuchanie i będzie prawił swej ofierze długie i nudne tyrady o równości stanów, o wszechwładstwie pieniędzy, o żydach którzy zostali ministrami i t. p. A hrabia wdaje się w rozprawy z tym niecnym hultajem, nie karze go za drzwi wyrzucić lokajom, nie żąda od sądów aby go wtrącono do więzienia. Silber z zimną krwią mówi do niego: „oszukałem cię, zabrałem cały majątek, ale się da naprawić. Coś stracił na nafcie, możesz odzyskać na córce, wydaj ją tylko za mego syna.“ To zestawienie córki z naftą jest przepyszne w swoim rodzaju i przynosi zaszczyt autorowi komedyi „z Postępem.“

Hrabia odrzuca wprawdzie propozycye Silbera, ale za to gotów jest przyjąć kandydata protegowanego przez plotkarkę hrabinę, niejakiego Koźlakiewicza, głupiego i śmiesznego synalka, który tytuł hrabiego kupił sobie w Wiedniu. Z temi kramarzami widoków małżeńskich łączy się Przepiórkiewicz, ofiarując hrabiemu pomoc pieniężną, w nadziei naturalnie wydania Emmy za Artura.

Komedya rozwiązuje się podwójnem małżeństwem Artura z Emmą i Zdzisława z Anielą.

Artur odrodził się niby moralnie i przepędza swój czas już nie na pijatykach ale na romansowaniu z Emmą, czekając cierpliwie, aż jej majątek pozwoli mu znów prowadzić życie wygodne i próżniacze. Zdzisław lekko ranny w pojedynku dla przyzwoitości romansuje podobnie z Anielą. Artur jednak doradza wyznanie wszystkiego ojcu, dla wyjścia z niepewnego położenia i wyprawia przyjaciela na pierwszy ogień. Zdzisław dostaje wzgardliwą odprawę, ponieważ nie ma pieniędzy jak Silber i tytułu jak Koźlikiewicz, co skłania go do niegrzecznych wymówek czynionych arystokracyi i do apologii prostaczego gminu:

A w moich żyłach hrabio, krew prostacza płynie!
Krew gminu: i to z dumą powtarzam tem więcej,
Że ja bym jej nie oddał za tytuł książęcy.
Bo dziś jakże rodowe cechy się zatarły,
Potomkowie olbrzymów, wy jesteście karły,
Głową i sercem *gromy!* Wnukowie rycerzy
Powiedzcie, co z was który, oprócz w tytuł wierzy!....

Gdyby Kobylański był prawdziwym nie malowanym arystokratą, gdyby nie wytarł resztek człowieczej godności w konszachtach z oszustami, mógłby powiedzieć śmiało: „Mój panie, twoje deklamacye niczego nie dowodzą. Jesteś jeszcze na świecie niczem, naukі masz może trochę, ale nic nie zrobiłeś.“ W sprawie z naftą okazałeś niedołęztwa więcej może, niż ja sam, a to, że jesteś synem chłopa i że umiesz stanąć w pojedynku nie stanowi jeszcze tytułu do ręki hrabianki, która może znaleść świetniejszą partyę. Byłby to głos przesądu, nie przeczę, ale w tym przesądzie przebijałby się niemały odcień zdrowego rozsądku. Gdyż ten pan Zdzisław, rycerz w sprawie postępu zanadto wygodnie wkracza w jego ciernistе szranki. Nie może nawet tłomaczyć się potęgą uczucia, gdyż nie kochał skrycie, nie cierpiał, nie walczył z sobą, miłość narzuciła mu się sama jako łatwa zdobycz bez trudu A z tego szczęścia niespodziewanego i niezasłużonego jakże pilno mu korzystać. Ani na chwilę duma osobista nie poszepnie mu nawet, że przyjęcie go w poczet rodziny Kobylańskich, będzie łaską, zaszczytem dla dziecka gminu, wygraną losową, którą przyjdzie opłacić upokorzeniami i zaparciem się przekonań.

Artur konsekwętniejszy jest i zręczniejszy, gdyż wystawiwszy ojcu obraz nędzy czekający całą rodzinę, łacno wyjednywa zezwolenie starego egoisty na małżeństwo z Emmą. Aniela wzrusza ojca pokorą i łzami, w co nikt nie wierzy, ale to koniecznem było dla zakończenia przecie komedyi.

Jeżeliby teraz kto zapytał, na czem polega idea postępu bronionego przez autora, odpowiemy mu, że nie wiemy. Miałżeby postęp na tem tylko się zasadzać, aby doprowadzony do ruiny majątkowej arystokrata, reperował się bogatem małżeństwem syna z córką ekonoma, a dla zamydlenia ludziom oczu, przyzwalał, choć niechętnie, na zamęście córki z poczciwym i przyzwoicie zachowującym się inżynierem.

Arystokracya nie potrzebuje takiej lekcyi od p. Zalewskiego. Umie ona i bez niego radzić sobie w podobny sposób.

Z samej treści czytelnik mógł już nabrać przekonania, że figury poruszające się w komedyi,, z Postępem”, są po większej części pożyczane. Przepiórkiewicz jest Geldhabem, Kobylański — margrabią de la Seiglier na swój sposób, Silber — niby Goldszmitem z Epidemii, hrabina — Kwocką, inne postacie przeważnie — zerami. Osnowa komedyi przypomina w głównych zarysach Epidemję, naturalnie w miniaturowych rozmiarach. Tam odgrywa się dramat istotny, — tryskają z działania uczucia proste a głębokie Karwacki przez namiętność giełdową dotknięty zostaje w najświętszych uczuciach męża i ojca, a przecież nie chce sprzedawać córki dla ocalenia siebie, woli raczej samobójstwo. Tutaj wszystkie cierpienia redukują się do strat pieniężnych, a do pieniężnych zysków wszystkie radości, oszustwo bezkarne i niedołęstwo ratujące się w potrzebie środkami bez wyboru, oto czynniki tej naftowo-finansowej komedyi.

Panowie Żółkowski i Ostrowski wyczerpali ogromny zasób humoru na ożywienie postaci. Kobylańskiego i Przepiórkiewicza. Panowie artyści wywiązali się z ról swoich bardzo poprawnie.

*Kazimierz Łuniewski.*

## Opis ryciny kolorowej.

Fig: 1. *Strojne ubranie wizytowe.* Suknia koloru lila z materyi faille w paski, ma spódnicę z trenem, podpiętą u góry w puf, u dołu ogarnirowaną riuszą illuzyową wyszytą perełkami. Wykład na staniku z baskiną, dodany jest z gładkiej materyi. Rękawy sięgające do łokci, z szerokiem wyłożeniem z lila materyi, dopełnione są koronkową falbaną na którą spada suta kokarda z końcami. Przy podłużnym wykroju dodana suta kreza, w górę stojąca, spięta długą szarfą z koronkowego tiulu, wyszytego perełkami. Włosy spuszczone w długich warkoczach, z których jeden przypięty fantazyjnie na ramieniu; między puklami na głowie przewinięte są sznury pereł.

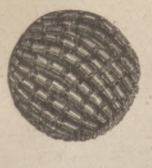
Fig: 2. *Ubranie balowe,* z białego tarlatanu. Szerokie zakończenie z buf u dołu sukni, przepinane jest różami. Stanik z bawetem pokryty poprzecznem plisowaniem. Gładka, niezmiernie długa tunika podpięta w bufę, za pomocą szarfy białej w różane pączki, przeprowadzonej przez ramię na lewą stronę. U dołu szarfy wisi biała atlasowa omonierka z kwaścikami. Na szyi aksamitka ozdobiona porcelanowemi różami i także krzyżyk. We włosach i przy lewem ramieniu róże.



Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, rycina kolorowa oraz na prowincyą Katalog z Księgarni A. Kowalskiego.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

**Dodatek.**





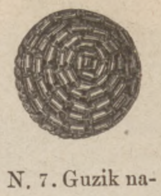
N. 4. Guzik oszyty materyją i ozdobiony dżetem.

N. 5. Guzik osnuty jedwabnym sznureczkiem i ozdobiony perełkami.



N. 1. Przykrycie na stolik do szycia, haft kolorowy i aplikacyja. Deseń na arkuszu z formami Fig. 73.



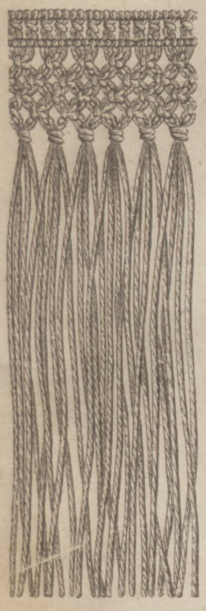


N. 6. Guzik pokryty robotą szydełkową i perełkami.

N. 7. Guzik naszyty dżetem.

# O FUTRACH.

Rozszerzywszy swój zakład pan Penkala, rozdzielił go na trzy osobne magazyny, obok siebie pomieszczone, i w jednym z nich umieścił same tylko futra w błamach, skórkach zarówno ściągniętych z najciemniejszych jak i pospolitych zupełnie zwierząt, garnitury całe, rozmaitych gatunków i potrzeby, gotowe szuby męzkie i damskie, paletoty, szubki, kołnierze, boa, manszony i t. d.

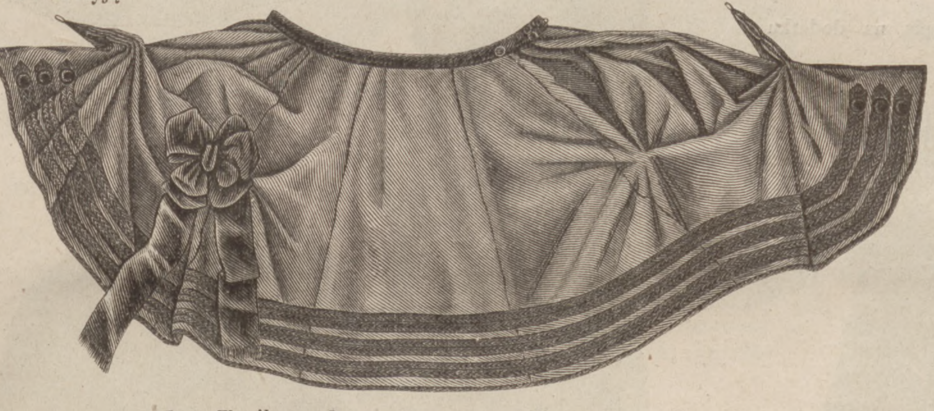


N. 9. Frendzla z torsadą wiązaną do sukni, szarf i t. p.

Futra długie damskie tylko formą szubową to jest długiego luźnego paletota, zwykle się dotąd jeszcze robią. Krótkie szubki tenże sam kształt po większej części zachowały, a rękawy tak do dłuższych jak i krótszych salop, są prawie zawsze paletotowe, wszakże i rękawy klapą z boku przedłużone nie wyszły z mody. Pierwsze ubierają naszyciem na wierzchu podwójnego mankieta z *matelacé*, aksamitu lub materyjału tego samego co cały paletot, zdobiąc go pasmanteryją i zakończając albo ładną rozetą szmuklerską, lub też zręczną kokardą jedwabną, dżetową klamrą przepiętą, a nigdy koronką, jako przyborem zupełnie do futra niewłaściwym. Niewielkie kołnierzyki futrzane ciągle się utrzymują, urozmaica ich zwykłą formę, kształt męzkiego koniłerza z jedną lub dwiema klapami na przodzie. Kołnierze takie bardzo są poszukiwane przez elegantki i do każdego okrycia się noszą. Manszoniki choć nie tak mikroskopijnych, jak lat zeszłych rozmiarów, nie duże są zawsze.



N. 2. Kokarda do krawatki deseń na koronkę irlandzką Fig. 76.



N. 3. Tunika rozłożona do ryc. 2 w N. 47 Tyg. Sposób krajania i opis na arkuszu dodatkowym N. XII Fig. 63.

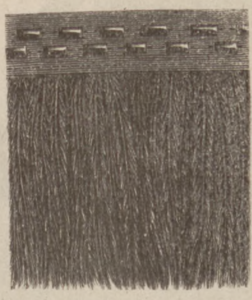
Tegoroczne krótkie futerka, nie mają futrzanej wypustki od dołu. Skromniejsze wełną a nawet i jedwabiem kryte, gładkie są zupełnie, prócz rękawa, który nieodzownie jakiejś ozdoby wymaga, a kosztowniejsze aksamitne okładają do koła futrem na cztery palce szeroko, jednakowo od dołu u szyi i z przodu. Rękaw paletotowy do takiej szubki zwykle się tak samo futrem oszywa, inne mają tylko garnirunek z futra u szyi i wzdłuż przodu, co mniej bogato wprawdzie, lecz bardzo także ładnie wygląda. Okłady takie kupują się gotowe na łokcie, lecz z droższych futer rzadko kiedy magazyny na sklep przygotowują, tańsze zaś zawsze są w zapasie.



N. 10. Frendzla z piór do oszycia paletotów, kaftaników, vêtement i kapeluszy.



N. 11. Oszycie z piór do paltotów, vêtement i t. p.



N. 12. Frendzla z piór do paletotów i t. p.

Na podobne obłożenia, a nawet całe garnitury do zimowych salop, ślicznie wyglądają *Rakuny* (młode szopy) futro to od lat paru dopiero weszło w użycie, a tego roku bardzo jest noszone, jako z tańszych nie tyle jeszcze pospolite szczególniej *rakuny czarne* piękny garnitur stanowią. Cena ich dosyć przystępna, wyborowy bowiem garnitur ceny 25 rs. nie przechodzi. Jaśniejsze od 14. Drogie futra czarne, niebieskie i srebrne, szenszylla, gronostaje, zawsze są i będą w modzie, tańsze zaś zwłaszcza na garnitury: zmianie ulegać muszą, gdyż dużo, jako dostępniejsze ceną noszone, prędko się opatrzą. Dla tego też są futra nie dawno będące w wielkiem użyciu, których dziś nazwy już nawet nie pamiętamy. Między gatunkiem czarnych futer, rywalizuje ze skunksem tak powszechnie lubionym, odmiana młodego czarnego niedźwiadka, który podobno lepiej się od pierwszego nosi, bo nie tak się ugniata, a przez to i mniej wyciera.

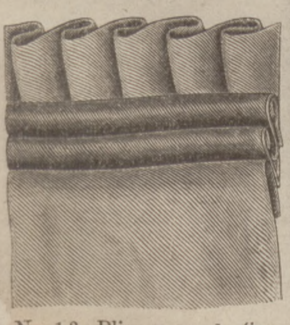


N. 9. Frendzla z torsadą wiązaną do sukien szarf i t. p.

Do garniturów przeznaczonych do krótszych okryć i kostiumów, przygotowują się także ładne kapelusiki; a raczej czapeczki z czarnego aksamitu, odpowiedniem garniturowi całemu futrem przybrane. Robię tu tylko uwagę, że futro z długim i puszystym włosem nigdy dobrze nie ubierze kapelusza, jako za grubo wystające, i niesłychanie powiększające głowę, trzeba zatem wybierać skórki zwierząt których włos, więcej płasko się układa, a takie wytworne zimowe ubrania utworzyć muszą.

Do nowości tegorocznych również policzyć należy, baranki tybetańskie. Długi ich kędzierzawo się wijący, śnieżnej białości, miękki i połyskliwy włos, pierwszeństwo im przed wielu futrami innemi pozyszcze. Widziałam takie także kołnierzyki i manszony nadzwyczaj eleganckie garnitury stanowiące po 33 rs. Duży ich zapas liczne żądanie zapowiada—nie przypuszczam nawet aby taki wytrawny kupiec jak pan Penkala, omylił się co do gustu publiczności, klientelę jego stanowiącej, i przygotowywał większy zapas towaru, wątpliwy zbyt zapewniającego. Barankami tybetańskiemi głównie podszywają długie aksamitne czarne rotondy. Śliczne to i wykwintne okrycie wielce może być pożyteczne i praktyczne do karety, jako ciepła zarzutka na toaletę koncertową lub tym podobną strojną a lżejszą, na której świeżość wkładanie rękawów szuby, korzystnie oddziaływać nie może, lecz jako jedyne futro na zimę do wyjścia pieszo tej gwarancyi ciepłego otulenia co salopa dać nie jest w stanie. Cena takiej gotowej rotondy 300 rs. wynosi.

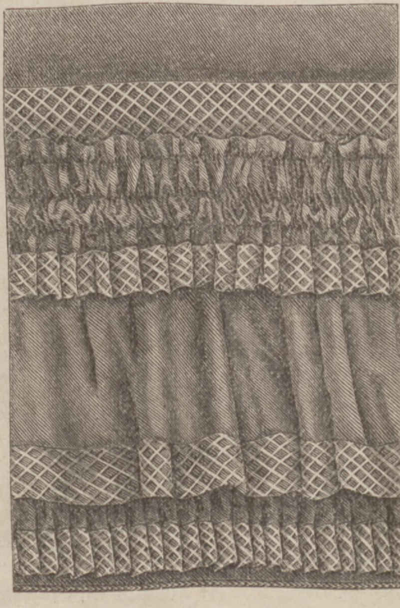
Na pokrycie futer biorą zawsze jeszcze matowe materyje; z dawniejszych *grosgrain* w różnych gatunkach i w cenie od 2 rs. 25 kop. noszą ciągle, jak również *serge diagonale*, *armure*, *cotelet* od 3 rs. łokieć. Do najmodniejszych zaś nale-



N. 13. Plisa z podwójną wypustką z grubym sznurkiem i plisowanym nagłówkiem.



N. 15. Garnirunek naciągany na sznureczki.



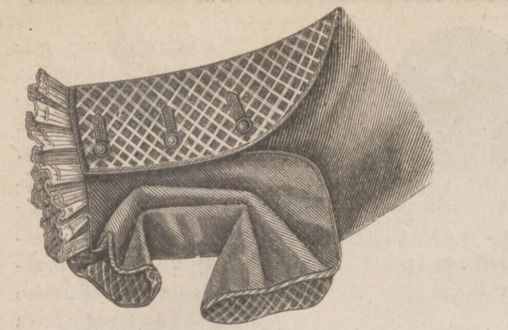
N. 16. Garnirunek do sukni z materyi gładkiej w kratę.



N. 17. Falbany objęte materyją jaśniejszego cieniu.



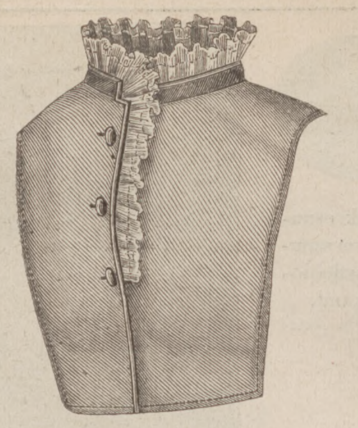
N. 14. Falbankas z nagłówkiem, dwa razy przemarszczona na sznurek.



N. 18. Rękaw do sukni z materyjału gładkiego i w kratę.



N. 22. Kapturek upięty z chustki trykotowej.



N. 20. Szmizetka do staników z szalowym wykrojem. Krój przy ryc. 42—43



N. 23. Burnus z kapturkiem. Krój i opis na dodatku N. IX Fig. 43—44.



N. 24. Paletot z kapturkiem dla małej panienki. Przód do ryc. 25. Krój podług ryc. 28.



N. 36. Paletocik szalowy obłożony futrem. Krój jak do ryc. 1—2 w N. 37.



N. 28. Luźny paltocik naszyty torsadami, przód do ryc. 32. Krój N. V Fig. 24—27.

N. 29. Wcinapaletocik dla panienki. Krój jdo ryc. 51—54.

N. 30. Paletocik dla chłopczyka od lat 4—7. Krój i opis na dodatku N. XV Fig. 68—72.

N. 31. Dolman dla dziewczynki od lat 4—6. Krój na dodatku N. V Figura 24—30.



N. 37. Paletot szalowy oszyty koronką i torsadą ozdobioną dżetem. Krój N. II Fig. 11—14..



N. 40. Pół wcinany paletocik, Plecy do ryc. 39.



N. 33. Kurtka bluzkowa z ranwersem, dla chłopczyka od lat 4—6. Zobaczyć majtki ryc. 35.



N. 35. Ma ze stanikiem dla małego łopczyka. Krój majtek i kur jak do ryc. 2 w N. Tygodnika.



N. 34. Kurtka zapinana na dwa rzędy guzików. Majtki ryc. 35.

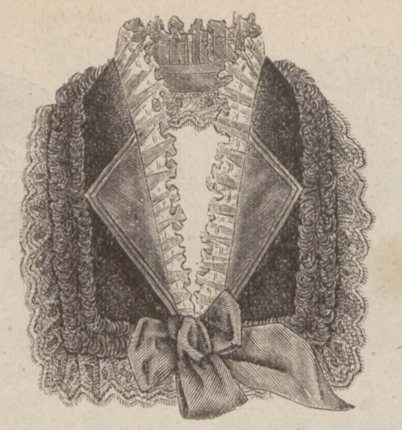


N. 39. Pół wcinany paletocik z kieszonkami z tyłu. Przód do ryc. 40. Krój N. X Fig. 45—49.



N. 41—43. y vêtement. Krój i opis na arkuszu z ami N. I Fig. 1—10.

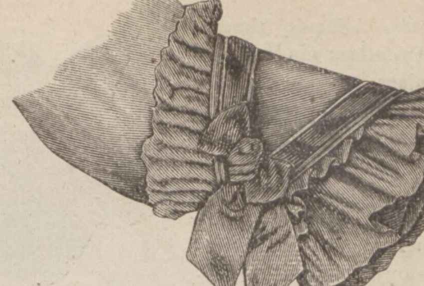




N. 21. Kołnierz z ranwersem do mantyli, paletota i t. p. Krój N. III Fig. 15.



N. 26. Kapturek upięty z szalika rzymskiego.



N. 19. Rękaw do sukni z materyjału gładkiego. Krój jak do ryc. 41—43.



N. 27. Płaszczyk paltocikowy. Plecy do ryc. 48. Krój i opis na dodatku N. VIII Fig. 39—42.



N. 25. Plecy paletota ryc. 24.



N. 32. Paletocik naszywany torsadami. plecy do ryc. 28.



N. 44. Pół wcinany paletocik z szerokiemi rękawami. Przód do ryc. 45.



N. 45. Pół wcinany paletocik z szerokiemi rękawami. Plecy do ryc. 44.



N. 38. Paletot szalowy oszyty futrem i ozdobiony sznurem jedwabnym. Krój jak do ryc. 37.

żą *satin hollande*, tkanina niczem atlasu nie przypominająca i *picotine* posiadająca pozór grubo prążkowanego rypsu. Za pierwszą ręczą że się doskonale nosi może i druga też zaletę wykazać potrafi. Obie te materyje piękne i bogate salopy obiecują. Do tańszych należy zawsze *popelina*, której praktyczność i trwałość wątpliwości nie ulega, cienki i mięsisty atlas wełniany, a obecnie do tych tkanin przybył jeszcze dotąd na salopy nie używany kaszmir podwójny (cachemire double) który zaleca się pyszną swoją czarnością, w dłuższem nawet noszeniu nic koloru nie tracąc; jest on w cenie 1 rs. 80 kop. Inne są jeszcze wyroby wełniane zdatne na krycie futer w cenie od 80 kop.

Krótkie paletociki ładnie wyglądają z matelacé, który jest w trzech rodzajach, i wielu gatunkach, to jest czysto jedwabny, pół i zupełnie wełniany. Ceny futer pod salopy nie podaję tylko co załączony cennik z magazynu pana Penkali, objaśnił czytelniczki Tygodnika Mód w tym względzie.



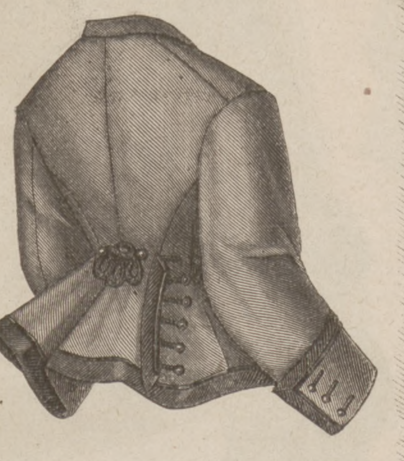
N. 46. Kapelusz aksamitny obłożony piórami.



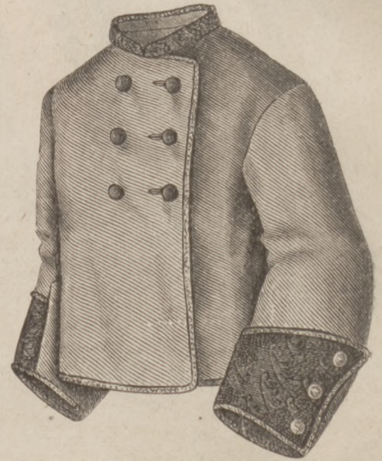
N. 48. Okrycie paletotowe przód do ryc. 27. Krój i opis na arkuszu z formami. N. VII Fig. 39—42.



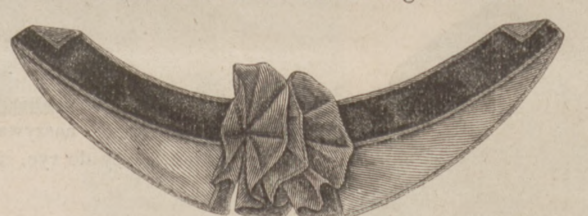
N. 47. Kapelusz miękki filcowy.



N. 52. Paletocik z kołnierzem z klapami; plecy do ryc. 51.



N. 53. Paletocik ze stojącym kołnierzem, przód do ryc. 54. Krój N. IV Fig. 21—23.



N. 49. Kołnierz podwójny z kontrafałdami; do paletota lub vêtement. Krój N. VIII Fig. 64—65.



N. 51. Paltocik z kołnierzem z klapami, przód do ryc. 52. Krój N. VI Fig. 16—20.



N. 50. Chusteczka z kapturkiem, do ryc. 1. w N. 37 Tygodnika. Krój i opis na dodatku N. XII Fig. 62.



N. 54. Paletocik ze stojącym kołnierzem; plecy do ryc. 53. Krój N. IV Fig. 16—19.

## Opis do N. 48.

(Ciąg dalszy).

**N. 3. Tunika** rozłożona do ryc. 2 w N. 47 Tygodnika.

**N. 4—17. Frendzle**, oszycia z piór i rozmaite modne garnirunki, które przy zręczności i guście można odrobić własnoręcznie.

Ciągle jeszcze bardzo używane są do przybrania sukien i okryć wszelkiego rodzaju frendzle, pasmanteryje, agrafy i guziki szmuklerskie, które w handlu płaci się drogo, a które łatwo zastąpić można robotą szydełkową wiązaną albo wyszyciem z sutaszu i perełek. Guziki N. 5 i 7 oszyte są materyją na drewnianej foremce i przyozdobione w odmienny sposób dżetem. N. 5. pokryty jest jedwabnym sznurkiem z dodaniem trochy perełek, a N. 6 odrobiony szydełkiem, ocz. ścisłemi, i ozdobiony naszyciem dżetu. Próbki frendzli N. 8 i 9 mają torsadę wiązaną w sposób od bardzo dawna znany, w ostatnich czasach zarzucony, a dziś znów wracający do mody.

Na ryc. 10 i 12 załączamy próbki odmiennej frendzli z piór, przyszytej w sposób wskazany do nagłówka z materyi, która stanowi dziś najstrojniejsze przybranie sukien, paletotów lub kaftaniczków. Oszycie z piór N. 11, można z łatwością podług załączonej próbki ułożyć i do paska czarnego, sztywnego muślinu przyszyć; pióra starannie pielęgnowanych kapłonów, indyk białych, lub różnego dzikiego ptastwa nadają się do powyższego celu.

(Dokończenie nastąpi w dodatku).